ELODJA.

ELODJA,

CZYLI

MUZYKA CHOREJ DUSZY.

POWIEŚĆ

LUDWIKA WARHANKA.

Witalis Morgulec.

1848.

KIEW.

Tłocznia Józefa Wallnera.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ:

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Це
сурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ.

Кіевъ, 21. Генваря, 1848 года.

Ценсоръ Новицкій.

Jaśnie Wielmożnej

TEKLI Z XIĄŻĄT SANGUSZKÓW

Hrabinie

POTOCKIEJ,

w dowód najwyższego szacunku.

LISTA PRENUMERATORÓW.

	Exempl.
Abramowicz Stanisław, Marszał. Pow. Taruszcz.	2
Aleksandrowicz Edward, Gub. Sekr. . .	1
Boguski Jan	1
Bentkowski Władysław, Koll. Reg. . .	1
Bernatowicz Alexander	1
Bodakowski Franciszek	1
Bohdanowicz Oktawian	1
Bindaszewski Jan	1
Brynk, Archidyakon kościołów Gub. Kijowskiej Dok. Teol.	1
Chajs, Dok. med.	1
Chaborska Kaja	1
Chomętowski (Socha) Konstanty . . .	1
Chmielowski Tolentyn, Gub. Sekr. . . .	1
Chondzyński Jan . . . . . ,	1
Chszcząszczewska Julija, Porucznikowa . .	1
Czeczot (z Jaworskich) Seweryna, Rotmistrzowa	1
Dorożyński Jan	1
Druczewski Felix, b. Chor. Pow. Lip. . .	3
Filanowicz Frańciszek	1
Gawkowski Alexander	1
Gnoiński Stanisław	1
Grodecki Józef	1
Gruszczyński Piotr	1
Gorszkowska Walerja	1

	Exempl.
Hoszowska Justyna, Sędzianka . . .	1
Hulanicki Adam	3
Jagiełłowicz Ignacy, b. Sędzia Pow. Lip. .	1
Jaworska Salomea	1
Jaroszyński, Marsz.	1
Jurkiewicz, Sędzia Pow. Umań. . . .	1
Iwanowski Paweł, Dok. med. . . .	1
Iwanicki	1
Iwański Adam, Gub. Sekr.	1
Kaczyński Piotr	1
Kaleński Narcyz	1
Kopiatkiewicz Ignacy, Gub. Sekr. . . .	1
Kapliński Walery, Gub. Sekr. . . .	1
Kozicki	1
Kozłowski Stanisław, Adw.	1
Koszarski Wiktor	1
Korczyński Antoni	1
Kozaczyński Juljan	1
Konarski Michał	1
Kłodnicki Grzegorz, Sędzia	1
Lipnicki Józef	1
Lipkowski Henryk	1
Lippoman Antoni	1
Łopot Wincenty	1
Łozińska Ewelina	1
Makowiecki Ignacy, Gub. Sekr. . . .	1
Makowiecki Grzegorz	1
Makowiecka Marja	1
Markowski Michał	1
Metelicki Roman	1
Milewski Bazyli	1
Moczarski Alexander	2
Moczarska Kamilla (z Newlińskich) . .	1

	Exempl.
Narwojn Marceli, Koll. Assesor	1
Neznamow Andrzej, Koll. Sekr.	1
Newlińska Wincentyna	1
Nikorowicz, Porucznik	1
Niedziałkowska	1
Niesiołowski Soter, Koł. Reg. . . .	1
Niesiolowski Józef	1
Ochrymowicz Teodor, Nacz. Pow. Umań. .	1
Potocki Bolesław Hrabia, Szamb. Dworu i Kaw.	10
Potocka Tekla Hrabina (z Xiążąt Sanguszków) .	25
Potocka Ludwika	1
Pogorzelska Dorota	1
Paszkowski, b. Marsz. Pow. Skw. . . .	3
Petrow Mikołaj	1
Peretjatkiewicz	1
Piskorski Teodor	1
Piotrowska	1
Pilawska Marja	1
Przestępski Mikołaj	1
Piniałowicz Bolesław	1
Rojek Kajetan	1
Rossowiecki Jan	1
Rykman Filip, Geom. Pow. Lip. . . .	1
Rząsnicki Romuald, Dok. med. . . .	1
Schröders Benigna (z Przygodzkich) . .	1
Skrobońskí Józef	1
Skroboński Franciszek, Gub. Sekr. . .	1
Skroboński Antoni, Koll. Reg. i Kaw. . .	1
Siedliczyński Bazyli, Koll. Reg. . . .	1
Strudecki Dyonizy	1
Statkiewicz Ferdynand	1
Statkiewicz Alexander	1
Szymborski Józef	1

	Exempl.
Szczawiński Gotfryd	1
Szymański Xawery	1
Sławiński Walenty	1
Tyszkiewicz Henryk Hrabia, Kijow. Gub. Marsz. Taj. Rad. i Kaw.	10
Tyszkiewicz Stanisław Hrabia . . .	1
Tyszkiewicz Henryk Hrabia	1
Tyszkiewicz Mikołaj Hrabia	1
Trzeciak, Marszałek	1
Tarnawski Wincenty	1
Tarnawska Marja (z Leżeńskich) . . .	1
Trejczke Józef	1
Terlecki Seweryn, Koll. Reg. . . .	1
Terlecka Joanna (z Gałęzowskich) . . .	1
Tyszewicz Konstanty	1
Uderski Władysław	1
Wadelewska Salomea	1
Warhanek Marja	1
Wereszczyński Anzelm, Koll. Reg. . .	1
Wekker Adam, Koll. Reg.	1
Witkowski Józef	1
Witwicki Wiktor	1
Wyszatycki Wiktor, Koll. Reg. . . .	1
Zmigrodzki Ludwik	1
Zmigrodzka Kamilla	1
Zieliński Stanisław	1
Żółtowska Eleonora	1
Żurakowski Jakób	1
Żurakowski Mikołaj	1

Dochód z tego dziełka przeznacza się na wspomożenie kościoła Gubernii Kijowskiej, w mieście Lipowcu.

Duszo moja — lutni moja!
Jak łza z oczu wydobyta,
Gdy się słodko chwilę prześni,
Jak najczystsza nóta pieśni,
Co się zaraz wtóru chwyta;
Tyś tak łatwo brzmiała — Igrzeła
Do kamiennej piersi ludzi!
Czemuż dziś w niej nóta twoja,
Drugiej nóty nieobudzi,
Z którąby się zlać pragnęła!?

Entuz. J. K.

DO CZYTELNIKA:

Potępisz mię, — nie pojmiesz, a może wyśmiejesz móy miły bracie! Jedni, powiecie: miał że z czém wystąpić na scenę świata — miał się z czém pochwalić!? — Drudzy, rozniesiecie szeroko swe ślepe o mnie zdania, — tamci, z nałogu, cisną na nieskalane uczucia moje, jadowite sarkazmy! . . . .

O biedne dziécię moje! moja jedyna pieszczoto! jedyna nadziejo! Tak długo nosiłem cię w mém łonie. Tyle przebolałem wydając cię na świat, przeczuwając że twój głos niemowlęcy, może do niczyjej nieprzeniknie duszy; twa łza anielska, może żadnego nieporuszy serca!? A nam, może już bardzo prędko przyjdzie rozstać się z sobą — i ty zostaniesz sierotą..... Oddaję

cię więc na ofiarę Bogu — na votum do cudownego obrazu Pana Jezusa w kościele Lipowieckim, — i już niedbam co powie świat o tobie, bo wiem, że zła dola każdego czeka, kto na tym padole odłączy się od tłumu i pójdzie za muzyką duszy!

A wy, co sądzicie: że pisać dzieje duszy, tak łatwo, jak w waszej rozstrojonej wyobraźni, osnuć bluźnierczą ideę, — jak śmiać się ze wszystkiego niedocieczonego waszym zużytym rozumem, — jak sarkać złośliwym językiem na świętość przedwiecznych prawd, — niezazierajcie do tej ubogiej książeczki, — porzućcie — spalcie ją; — ona już nie dla was!....

A ty, mój rozsądny krytyku, — mój sędzio sprawiedliwy! nieszukaj daremnie w tym zespoleniu bolesnych wspomnień żadnej więzi — żadnego stylu i toku. — Ty masz rozum, ale niemasz serca; a tu wszystko z serca i dla serca!

Autor.

I.

Honte! approbre! malheur! anatheme!
vengeance!
Que la terre et les cieux frappent d'in-
tilligence!
Victor Hugo.

Na prawym brzegu Dniepru wznosi się wysoka góra; po niej rośnie dziewanna, roschodnik i gdzieniegdzie z rozwałów wygląda spróchniały zrąb trumny lub żółta czaszka, może jakiego męczenika co przelał krew za Chrystusa, albo rycerza co ją przelał w obronie ojczyzny.

U podnóża tej góry, przy samej rzece, widać między swirkami kilka poziomych chatek ubogich rybaków. Wieczorem migają z tamtąd drobne swiatełka i roschodzą się po wodzie długiemi ognistemi pasmami. A czasem słychać tam miłosną, czułą piosenkę, co rozlega się daleko — daleko, zapada w duszę i nigdy nieumiera. Ale częściej słychać z tamtąd smutne wzdychanie; lecz ten głos, ten żałobny język nie każdemu znajomy, — nieroschodzi się daleko, a niknie w piersiach natychmiast, jak ton roz-

bitego dzwonu i niezapada do niczyjej duszy, tylko jego echo wietrzyk na swoich skrzydełkach unosi prosto do nieba, a tam każdą łezkę, każde smutne wołanie sprawiedliwie na coś zapisują.

Przy brzegu kąpią się różnych kształtów wielkie i małe łodzie: bajdaki, berliny, barkasy; wszystkie pełne towarów, co przypłynęły tu z daleka — dla zysku. Tam palą się ognie i z dala błyszczą w nocy jak rubiny — jak brylanty. A gdy zejdzie Boże słońce, obaczysz na tém miejscu okropny, przerażający obraz nędzy; obaczysz nagie ubóstwo flisów. Wychudłe, spracowane, w mokrych łachmanach zgrzytają zębami i kurczą się od zimna, przeklinając tych co posłali ich tu z daleka. Im kraje się z żalu serce, bo zostawili w domu bez chleba żón i dzieci, zostawili tam, gdzie taki głód, takie nieszczęście. Im bardzo ciężko i smutno, bo niewiedzą czy zastaną kogo, powróciwszy do domu. Im łzy nieosychają w oczach, bo i im dobry Bóg wlał do łona choć po kropelce duszy. A to wszystko dzieje się dla tego przebrzydłego zysku, dla pieniędzy, którémi niemogą się nakarmić bogacze, które stanowią ich cały rozum, ich duszę, ich świat, niestety! tylko doczesny, tu!

Na wspomnianej górze, szumią odwieczne drzewa, z pomiędzy nich wyglądają jakieś kopułki, a nad urwiskami sterczą gustowne kioski. A tam dalej na prawo znowu wysoka góra, z której dużo świątyń Pańskich złotemi głowami połyskują i patrzą prosto w niebiosa, błagając Stwórcę o miłosierdzie dla ludzi.

Tuż obok tej góry, jeszcze jedna najwyższa, z tysiącami krzyżów i różnej formy nadgrobków: drewnianych, kamiennych, bronzowych, marmurowych, — zwyczajnie jak to się dzieje na Bożym świecie, żeby można poznać gdzie ubogi a gdzie bogaty spoczywa sobie, żeby i po śmierci była różnica między temi kupami zgnilizny, co mieściły w sobie: niedostępną dumę i cichą pokorę, zdolność wyniesienia ile tylko ucierpieć może człowiek i możność pokazania tego wiele człowiek pokazać może, duszę czystą pojmującą swe wielkie przeznaczenie i skalaną samą tylko zmysłowością. A najwięcej tam poziomych mogiłek bez żadnego śladu, żadnej oznaki kto pod niemi zasypia, ale nad niemi najwięcej łez się wylewa, bo ubogie ciało zamiast dumy mieści najbogatsze niewyczerpane skarbnice Boskiej czułości i prawdziwego niemaskowego żalu; łzy takie przesiąkną głęboko, a temu kto je wyleje tak potem lekko — lekko.

Tu kiedyś było wszystko wspaniałe, wszystko wielkie; teraz tylko szczątki, tylko pamiątki dawnej świetności; lecz i te spią martwo pod grubą warstwą ziemi, w chaosie przeszłości, lub zdarzeniem wygrzebane, niemą tęsknotą przemówią do swoich czasów, spojrzawszy na teraźniejszość, wskrzeszą w czułem sercu wspomnienie, poproszą o pamięć i znowu pogrążą w swoich otchłaniach, lub staną się dla zimnych oczu, dla zmysłowych serc, tylko prostemi kamieniami, tylko niepotrzebnym gruzym.

Dawno, dawno po tych rozdołach, wybrzeżach i górach niesłychać pieśni Bojana wielkiego czaro-

dzieja starego Borystenu; nierospala ona krwi, niepodnosi niemocy ducha, nierozsciela się po sinem zwierściedle Dniepru, świadka tylu scen krwawych, co sam nieraz widział łono swoje zafarbowane krwią własnych dzieci. Teraz, czasem tylko, czysta perłowa, z serca, łezka stoczy się w jego fale; ale w nią nikt niewierzy, bo jej nikt niewidzi.

Już kilka godzin minęło, jak wiosenne słońce tam głęboko opuściło się za góry. W niebiosach chmury za chmurami jak fala za falą pędziły, tylko niekiedy blady xiężyc z pod czarnego weluma przezierał, rospuszczał promieniste włosy i kąpał je w krzyształowych pianach Dniepru, i jasne gwiazdeczki na chwilkę zabłyskają rubinami, przejrzą się i znowu utoną w falach.

Na górze w Cesarskim ogrodzie głucho, pusto, tylko słychać jak Dniepr szumi, jak lipy coś sobie szepczą. Przed godziną jeszcze, płonęły tu różnokolorowe ognie, brzmiała wojenna muzyka, rozlegała się wesoła pieśń wojenna. Po ulicach spacerowało mnóstwo obojej płci ludzi, w brylantach, w złocie, w gwiazdach, w maskach; mówiono różnymi językami: o potrzebie czasu, o swych obowiązkach, o zmysłowej miłości, o próżności. I to wszystko już ucichło, zamarło jakby czarodziejską mocą. Zwyczajnie, jak się to dzieje na Bożym świecie, że wesołość znika prędko, tylko smutek na długo pozostaje w duszy.

A cóż to za dwoje ludzi, co pozostali tu jeszcze do takiej pory? męczyzna już niemłody, kobieta jeszcze piękna — idą obok siebie, dłoń w dłoni.

Pewnie oni nienależeli do wesołej drużyny, nieweselili się z nią, bo na nich niebalowe suknie, bo w twarzach jakaś trwoga. Idą szybko ze spuszczonemi oczami; żadne nie spójrzy na nic, jakby nic dla nich już niepozostało na tym wielkim pełnym roskoszy świecie, jakby cały świat był w nich. Nie jedno drugiemu nie mówi, tylko mocno trzymają się za ręce, jakby oboje jedną dumę dumali, jakby i bez mowy rozumieli siebie.

Przeszli jedną ogrodową terrasą, opuścili się na dół, przeszli połowę drugiej, zwrócili w lewą ulicę, i usiedli obok siebie na darniowej kanapie. Silnie ścisnęli sobie ręce. Mężczyzna spojrzał w jej oczy, w nich paliła się dusza. Ona spojrzała w niebo, tam było ciemno i w tym momencie mignęła błyskawica, a oczy opadły w ziemię. Czyż zawsze serce kobiety pierwej zadrzy na myśl o występku; czy zawsze pierwej poszle w niebo błagalny promień oka i w tym promieniu zalśni modlitwa ogrójca: oddal Panie ten gorzki kielich od ust moich. Lecz w tym jej wzroku niebyło takiej modlitwy. Jakaś bezbożna wątpliwość, czy widzi ich Bóg, posłała go tam.

— Teraz dopiero, jedyna Olgo, przemówił po chwili mężczyzna, dopiero teraz wykonam ci przysięgę jakiej żądasz: dopiero tu usta moje przemówią językiem serca; tu, gdzie przedemną tylko ty i Bóg.

— A wieleś razy przysięgał? zapytała ona.

— Kocham pierwszy raz, pierwszą przysięgę prawdziwej miłości chcę tobie wyznać, pierwszy raz

oddycham całym wulkanem mych uczuć, oddycham tobą, tylko dla ciebie, wiecznie dla ciebie.

— Dotąd, oprócz tych peryodycznych oznak, żadnych niedałeś dowodów. Ognie te wygorą prędko i pozostanie tylko gorzki dym, co będzie gryzł i serce i oczy przez całe życie.

— Więc powiedz jakich dowodów, jakich poświęceń żądasz. Miłość moja bez granic. Zrzekłem się dla ciebie obowiązków męża, ojca, zaniedbałem moje interesa, pogardziłem opinją całego świata; w tobie upatrzyłem całe moje szczęście, zupełne moje niebo.

— A gdybym była biedną kobietą bez majątku, bez dostojeństw, ot sobie tylko ubogą wdową?

— Olgo, Olgo! pokąd mię dręczyć będziesz? Aż nadto jesteś pewną, nadto czujesz, że cię kocham całą potęgą mojego serca, dla tego tyle mię dręczysz. Przysięgam na życie i wieczność, na moje zbawienie, na niebo i piekło; klnę się grobami moich rodziców, moją świętą wiarą w Chrystusa, moim honorem, moim jedynym dziecięciem; świadczę się tym xiężycem, temi gwiazdami, tą wschodzącą jutrzenką, obecnym tu aniołem stróżem, że tylko ty jedna panujesz w mem sercu wszechwładnio samadzielnie: tylko dla ciebie oddaję te pozostałe dnie mego życia; tylko o tobie skupiły się wszystkie myśli moje. Olgo! pocożeś zapaliła w mem łonie ten nieugaszony pożar uczuć, naco otworzyłaś mi oczy, dla czego przed sobą widzę tylko ciebie i z tej pory za tobą, jak za pochodnią mego życia błąkam bez drogi. Coż ty drzemiesz pośród

roskoszy świata? Chodźmyż razem! Wiecznie kwitnącemi kwiatami usypię drogę twego losu, wiecznie słodką melodiją napełnię duszę twoję. Olgo! nieodrzucaj tego szczęścia.

— A wiarołomna żona, honor, chluba twoja?

— Pójdziem do rozwodu. Plan processu ułożony, potrzeba tylko świadków.

— Com ci objawiła, powtórzę w obec, wszędzie; pospiesz tylko aniele mój z tém szczęściem. Przysięga twoja jak promienna tęcza rozweseliła me serce. Przyrzeczenia twoje jak rosa jutrzenki orzeźwiła stroskaną duszę. Dotąd życie moje, było tylko snem długim, spaloną płomieniem słońca niwą. Dziś ty mię przebudzasz, urzeczywistniasz moje marzenia, moje ideały, ożywiasz nadzieję że będę jeszcze szczęśliwą. Odtąd zaczynam znowu żyć, zaczynam kochać miłością, jaką nikt z śmiertelnych nie kochał; lecz biada, biada wiarołomcy! wiesz-li do czego zdolna uwiedziona kobieta?

— Przysięgam, że całe życie, całą wieczność oddaję tobie.

I człowiek, sromotnie upadł na twarz przed kobietą i splamionemi ustami całował swego szatana ślady, i znowu te usta powtórzyły wyrazy piekła, i na te wyrazy zasępiło się niebo, pobladły gwiazdy i zakryły swe oczy. On się podniósł, spojrzał w około i zdało się mu, że każde drzewo, każda trawka tysiącami przenikliwych oczów patrzały na to i to rozumiały. — A z tąd nie daleko, w tym samym momencie, w dwóch piersiach czegoś bar-

dzo zadrzały serca i bolesnym przeczuciem zatrwożyły się dwie dusze.

Czuliście wy kiedy ten wyraźny głos Boga w łonie waszym; czy wierzycie w Jego niemylność, w Jego świętość, w Jego wiekuiste trwanie? Weselcie się tęskne serca, bo ten głos oznajmi wam kiedyś radosnym przyzwaniem błogi pokój żadnym niezamącony smutkiem, wskaże pięknie wschodzące nowe słońce żadną niezakryte chmurą. Lecz zasmućcie się istoty noszące, świętokradzką wolą skalany, obraz człowieka, obraz Zbawcy świata, bo głos ten ozwie się w waszych duszach straszliwą trąbą Archanioła na skonanie wszystkich nieprawości.

A tu, na tym poziomie, gdzie ukoić trwogę serca, czem powstrzymać serdeczne łzy? Pokażcie mi jedną tylko spokojną dolinę, dokąd niezanosiły wiatry ludzkiego głosu, lub czarowny ogród z upajającą wonią, lub las odwieczny gdzie jeszcze niestąpiła noga ludzka, lub głęboką grotę podziemną, — nie, nazwijcie mi tylko jedne, choć jedne miejsce, jeden punkt, na którym stanąwszy smutny człowiek, do którego przylgnąwszy zbolałą pierś, — powiedział nie ludziom, nie, wyznał samemu sobie: tu pokój dla mnie, tu mię nic nietrwoży, tu mię nic nieboli? Ach niema, niema takiego miejsca na ziemi, niema takiego punktu pod niebem.

Czy słyszeliście rozpaczające wołanie serca; czy dochodziło do waszych serc te przenikające niebo wołanie, takie wolanie: »zakryj promienie swoje bezwstydne słońce, naco patrzysz na ziemię; niech wieczna pierwiastków ciemność panuje. Roz-

stąp się, popękaj występna ziemio, co dźwigasz taki ciężar fałszu i pochłoń tę ohydną ławę pokrywającą całą twoją powierzchnię. Zamrzyj, skonaj w mém łonie nielitościwe serce, niech bicie twoje nienapomina mi o życiu. Oczy moje zawrzyjcie na wieki swoje rzenice, niech niepatrzę na skutki niewynoszonych myśli!« Jeśliście niesłyszeli — może usłyszycie. Nie tamujcie go, to nie w waszej mocy; zlejcie do niego i wasze bole i wasze wołania, bo wspólna modlitwa prędzej doleci Boga. A miejsc pokoju nieszukajcie daleko. Idźcie tam gdzie brzmi wieczna chwała Panu. Tam znajdziecie balsam na rany wasze. Tam ustaną łzy i bole i znękana dusza na łonie Stwórcy pokrzepi się słodkim pokarmem niebieskiej radości, ukrytej przed oczami świata, radości stałej, której niezdoła zrujnować żadna, ni ludzka, ni piekielna potęga.

II.

Szczęśliwy kogo uczuć melodija wzruszy.
Lecz ten szczęśliwszy, czyjej strony duszy
Same tą muzyką brzmiały.
J. Korsak.

Czy jest dla człowieka przeznaczonêm wyższe szczęście w tej krótkiej pielgrzymce naszego ciała, jak mieć istotę na wieki wcieloną do jego duszy, co podziela wszystkie niedole i radoście, która niepojętą władzą umie rozweselić, gdy chmura smutku zasępi jego czoło, która pocałunkiem łzy jego osusza — i mocą nadaną jej od Boga, już tu, na tym padole daje poznać niebieskie roskosze? A gdy wszystkie czarowne obrazy, jakie tylko we śnie dobry anioł momentalnie rozwijał przed oczami duszy; co kwiecista wyobraźnia, błyskawicami słodkiego dumania, malowała ognistą barwą w odległej panoramie urojonego świata, — stanie się rzeczywistą prawdą; gdy to wszystko zostanie w niewątpliwym władaniu człowieka; gdy tego wszystkiego będzie samowładnym bez granic panem, bez urojeń, bez

snów — i myrtowym wieńcem opasze swe skronie i z tryumfem zasiędzie tron myrtowy, — czy i w tedy szczęście jego niebędzie jeszcze zupełnem, czy i w tedy, osiągnąwszy najwyższy stopień ziemskiego nieba, pozostanie co jeszcze do chęci, do żądań?...

Ach, gdy i w tem jeszcze niema zupełnego ziemskiego szczęścia, zupełnego pokoju, pocoż się rodzić, poco istnieć tu człowiekowi.

Są tacy, i więcej takich, którzy władając tym nieogarnionym światem serca, — nierozumieją godności swojej, niepojmują celu swego istnienia, wyzuci z uczuć natchnionych niebem, karmią się zmysłowością hańbiącą duszę, i najdroższe perły anielskiej diademy plamią myślami, czynami piekła. — O biada słabemu sercu, co się uwikła w złocone sidła tych myśli, co stanie się niewolniczą machiną tych czynów. Biada słabej duszy, pozbawionej potęgi ducha. Biada nędznej powłoce, osądzonej na wieczne dźwiganie żelaznej maski wesołości, kiedy tysiące żądeł wpiło się do piersi, na uśmiech słodyczy, kiedy w tysiącach trucizn rozpływa się serce.

Złotogłowe miasto, okryte półprzejrzystą mgły szatą jeszcze spało spokojnie, tylko gdzie-niegdzie po górach, w chatkach ubogich ludzi migało w okienkach, bo musieli wstać bardzo rano, lub pracowali całą noc, aby zarobić na biedny kawałek chleba, i tak pracują całe życie; takie ich przeznaczenie; zato może tam zarobią sobie na wieczny odpoczynek, może tam otrą z swego czoła ten krwawy pot ziemski. Ale nietylko ci biedni ludzie niespali do takiej pory. Idźcie po tych szerokich ulicach, —

uszu waszych doleci smutna piosnka cichej rospaczy, o rodzinie, o swej chatce co gdzieś daleko od tego co spiewa o niej; doleci ucha, a może i serca doleci. Dużo ciekawych rzeczy obaczylibyście, usłyszelibyscie.

Wschodziła zorza poranna. Przy ulicy świętego Cyrylla, na dolnym piętrze ładnego domu błyskało w jednym oknie mdławe światło. Pod oknem na sofie, w niemem milczeniu, siedziały obok siebie dwie kobiety; lica blade, a na nich ślady tęsknoty, walki ducha, ślady łez. Patrzały na siebie, to na obraz Zbawiciela; szukały pociechy w sobie, w Bogu. Uderzyła trzecia po północy; zagasła świeca, tylko lampa przed Zbawicielem, tleje na dnie, to błyśnie i rozjaśni boleść świętego oblicza, to pogrąży się w płynie i konającym spojrzeniem rostoczy promienną tęczę w koło cierniowej korony.

W duszach tych samotnych istot, czegoś bardzo smutno, a na sen jeszcze ani się zbiera. W oczach ich otchłań przeszłości. Minione momenta, jak nieme obrazy ożywione pamięcią — leniwo, łańcuchem jeden za drugim się wleką, a każde jego ogniwo boleśnie trąca o serce i wskrzesza w pamięci umarły świat przeszłości, daje wyraźniej poznać teraźniejszość.

Te dwie smutne ofiary, były matka i córka. Ostatnia wyciągnęła ręce, obwiła szyję matki i w jej wzroku utopiła swe oczy i głosem pełnym słodyczy i smutku zapytała:

— Mamo droga, czemu papy jeszcze niema? Już dawno w pałacu Gubernatora pogasły ognie,

wszyscy się rozjechali, a papa niewraca. Ach Boże! może jaki wypadek.

— Nietrwoż się moje dziecię, przemówiła matka, papa zawsze najpóźniej wraca; dziś pewno jakie narady zatrzymały go dłużej. Wszakże on nas tak kocha, tak dobry dla nas; gdyby mógł poświęciłby nam wszystko.

— Czegoż mamie tak smutno; czemu mnie tak smutno? Już tak późno. Mamo, jakieś przeczucie ściska me serce.

— Lube dziecię, przytul się do mojej piersi; widzisz jaka ja spokojna. Ty tak szczerze się modlisz, tak bardzo kochasz Boga. On nigdy niezasmuci nas. Jego opieka święta ochroni nas od wszelkiego nieszczęścia. Usnij mój aniołku, moja pociecho jedyna.

I uspokoiło się anielskie serce, i uwierzyła w słowa matki anielska dziewicza dusza, nieświadoma jeszcze niczego oprócz niebieskich uczuć. Skłoniła swą głowę na poduszkę sofy i marząc o raju usnęła snem aniołów.

I dopiero w łonie matki, ozwało się serce wielkim, swobodnym, zrozumiałym bolem; bolem takim, co rozpływa się po całej duszy, co wyciska z duszy jęki Abla, co woła o pomstę do nieba. W tym bolu, przemówiła pierwsza miłość, a z nią pierwsze uniesienie, pierwszy pocałunek, pierwsza przysięga, pierwsze widzenie nieba, czucie w sobie nieba, pierwsze bole ziemskie, pierwsza zdrada. . . . A w tym momencie żywiej zapłonęło Boskie oblicze, jaśniej wyraziła się boleść Jego i głębiej prze-

nikło do duszy obecnej, w której obudziło się święte wspomnienie: ach ile On cierpiał i cóż moje cierpienia z Jego! Ta kobieta całą myślą już była z Bogiem. Okowy smutku opadły; w jej twarzy zajaśniała dusza i już cicho i słodko było tej duszy.

Szarzało. Obudziło się miasto. Ocknęły się żądze dobrego i złego. — Zwyczajnie ludzie. Turkot powozów, gwar języków zwierzęcych i ludzkich, głos tysiąca dzwonów, — zlały się w jedną wielką harmoniję żyjącego zmysłowością tłumu.

Ona nic niesłyszy; nic nieuważa. Ona nie tu. Pogrążona w niebieskie mary duma wysoką dumę. Jej dusza daleko od niej biesiaduje anielską biesiadę z czystemi duchami przyszłości i wiekuistego życia, stworzonemi fantazyą zbolałego serca i rozumu.

Otworzyły się drzwi. Do świątyni ducha, do świata chorej duszy, wszedł człowiek. Boże! jaka blada twarz jego; pieczęć skażonych myśli wyciśnięta na tym czole; w tych oczach zjadliwe błyskawice. Spojrzał; zdumiał; myśl: ona wie wszystko, ona modli się za mnie, — przebiegła skrą elektryczną po wszystkich członkach i spaliła trucizny natchnione szatanem i odjęła mu wszystkie uczucia oprócz uczucia żalu, oprócz uczucia litości. On przykuł do niej — utopił w niej, swój wzrok — całego siebie. Osłupiał. A ona; ona niewidzi go, ona nie słyszała jego wejścia. Cóż z nią?

Nie każdemu dana wysoka mądrość umieć otrząsać z siebie gorzki proch ziemski. Nie każden rozumie to szczęście, i ten co tu wszedł nie rozumiał tego, bo myślał że słodkim słówkiem ziem-

skim zamieni słodsze życie w niebiosach, osłodzi gorzkie życie na ziemi, zamąci czyste myśli anioła, zaślepi jasno-widzącą duszę kobiety. On zwołał wszystkie siły upadłego ducha, skupił wszystkie zdolności wygasłego serca, zbliżył się i przemówił cicho:

— Witam cię luba Emmo! Jaki cudny obraz zamyślenia w twém licu. Ciągle marzysz; wiecznie w niebiosach. Tobie mało mojej ziemskiej miłości, bo serce twe oderwałaś odemnie i posłałaś w kraj przyszłości. Wypowiedz przyczynę twojej zmiany? Albož cię mniej kocham jak w ów dzień.... Emmo, czemu niespałaś dotąd, co znaczą te ślady łez. Patrząc na cię, cała dusza przepełnia się goryczą. Spójrzyj na mnie, może niegodnego twego spojrzenia. Zstąp z twego nieba i naucz mię tej głębokiej mądrości, zapominać o ziemi. Emmo, patrz ile cierpię, ulżyj mękom moim. Duch życia upada pod brzemieniem rospaczy.

On nie rozumiał ostątniego wyrazu. — Lecz ten wyraz, jak sztylet zatruty przeniknął do serca kobiety. Ten wyraz zerwał złoty promień duszy, co strzelił tak wysoko, po którym spływała taka święta, weseląca serce nadzieja.

I oczy jej znowu ujrzały świat zupełnie inny, o jak daleki od tego, gdzie jej było tak roskosznie, tak błogo; a w łonie jej, jak w obszarach niebios odgłos straszliwego gromu, zapowiadającego zbliżającą okropną burzę, — rozległ się, wylany z ust człowieka ten przerażający wyraz, wyraz rospaczy, któremu niema równego w żyjących ustach.

— O mężu najdroższy, zawołała wyciągając ku niemu swe ręce, jedyne szczęście, jedyne niebo moje; pocoż dajesz wstęp do twego serca, pałającego takim świętym uczuciem, myśli godne tylko wygnańców nieba. Ty mię kochasz — prawda? — Szczęście nasze wyższe nad szczęście aniołów Bożych. — A bez ciebie, moje piekło, mój utracony raj. — Ciebie niebyło tak długo; zapomniałeś, żeś nas zostawił samych, że ja tak niespokojna o ciebie. Siedziałyśmy z Elodją do późna. Ona usnęła, mnie było jeszcze smutniej — jeszcze boleśniej; pomyślałam: jaka ja nieszczęśliwa; — spojrzałam na ten obraz, — wezwałam Go na świadectwo — i w tym oka mgnieniu, pierwiej nim utworzyła się ta myśl występna, — wpłynęła we mnie jakaś niebieska mimowolna chęć modlenia się; padłam na kolana i już było mi dobrze, i już byłam spokojna o ciebie. Teraz ty z nami, znowu nas kochasz! O jakaż radość, jakie wesele w mém sercu! Jakże niezazdroszczę samym aniołom, bo świat tak piękny, życie tak zachwycające, miłość tak słodka! Dla czegoż niewolno nam ciagle żyć w tym świecie, ciągle zachwycać się tym życiem, ciągle upajać się tą miłością?....

A on na wszystko był niemy: tylko na czole jego zbierały się miedziane chmury, noszące w sobie tysiące śmierci; tylko oczy jego błyskały, jak oczy umierającego zbrodniarza przy spowiedzi; tylko usta drgały jak w mękach, siliły się coś wyrzec: lecz dusza niemiała mocy wycisnąć z serca wszystkie tajnie jego występków, choć sama już brzmiała

słodką harmoniją pojednania się z Bogiem, choć sama pałała chęcią wyznania swego żalu, swojej słabości.

— »Ty kochasz Boga?« przemówiła tkliwa żona, tonem zdolnym zmiększyć serce tygrysie, zajrzawszy w oczy męczenika badawczo głęboko i wskazawszy na obraz Zbawiciela; »patrz ile on cierpiał.« — I w oczach jej zbrylantowała się perłowa łezka — ta zwiastunka objawiającej się wysokiej duszy i blaskiem swoim stopiła lody obecnego serca, i promieniem swoim wskrzesiła w zamarłej piersi nieocenione źródło prawdziwego świętego uczucia, za kropelkę którego przebacza Stwórca życie występków, kropelka którego gasi ogień piekła, toruje cierniową drogę do raju, od kropelki którego pęka serce z żalu i w żalu nieutulonym — nieograniczonym — niepojętym, — tonie życie.

Pełen takiego żalu, on rzucił się na twarz przed obrazem: z jego łona ni mowy, ni łkania; z jego oczu ni łez. Myśl szatańska uleciała do piekła; a gdzie zstąpiła łaska świętego ducha, stało się cicho, święto w około, jakby tędy anioł pokoju przeleciał, ukazując dwa przyszłe życia.

O błogosławiony! w czyją pierś przeniknie promień tego ducha i zapali tysiączne swieczniki łask swoich na ołtarzu serca! — O! w tenczas, taka czysta, taka prawdziwa ofiara uczuć płonie w duszy wielkim ogniskiem wysokich, czystych, nieskalanych światową zmysłowością, świętych myśli.

Długo on się modlił, nie językiem ciała, którym wyraża się wszystko oprócz natchnień serca i

duszy, bo tego języka nierozumie niebo — niesłucha Bóg. On modlił się niemo, myślą bez granic, wielką, nieprzejrzaną jak ocean, jasną jak firmament gwiazdzisty, pełną natchnienia, pełną nadziei. Tą myślą, o jak szczerze, z jakim usiłowaniem pragnął przejrzeć niebo, lecieć w bramy Syonu, by tam przed Tronem Wszechmocnego wypłakać cały swój żal, wybłagać ducha pokuty — i w tym słodkim świętym zachwycie, on rad poświęcić te krótkie ziemskie istnienie za pewność wiecznego istnienia tam — wysoko.....

O! to wielka łaska nieba; to żywy cud dobroci Boskiej, kiedy w występnym sercu tak widocznie objawi się głos sumienia, kiedy te serce ma siłę, ma władzę wypowiedzieć swój żal, otworzyć swe wnętrza, kiedy może się modlić.

On był szczęśliwy teraz; a dla obecnych oczu czułej duszy, wcielonej we wszystkie zmysły jego, we wszystkie jego cierpienia, — rozświetliła się nadzieja i błogą przyszłością zabłyskało niebo. Lecz oczom ciała trudno przyzwyczaić się do obrazów męki, jesli rozumie je serce, a gdy je dobrze poznają, gdy w nich znajdą spojone z sobą ofiary, — o jak daleko trudniej potém rozstać się z niemi, radeby z niemi, w nich żyć!...

Wschodziło słońce, tak pięknie, tak wspaniale, jak na radość Noemu. Anielskie dziecię otworzyło oczy, i pierwsza myśl z ocknienia była o Bogu — o nim, i pierwsze spojrzenie sprawdziło myśl stęsknioną i rozradowało serce niewinne. Elodja skoczyła ku ojcu, śnieżnemi rączkami owinęła szyję,

ustami wpiła się w jego lica, oczami w jego oczy; tam spotkała łzy, ona niepojęła jakie to łzy, niezrozumiała że to łzy słodkie bo serdeczne, bo miłosne. Pierwszy raz w oczach ojca ona ujrzała łzy i pierwszy raz tak bardzo zatrworzyła jej dusza anielska; ona zadrzała, zbladła i skupiwszy siły, mogła tylko przemówić: papo drogi, co ci?

Z miłością męża zjednoczyła się równie święta, równie wysoka miłość ojca, i serce jego ozwało się płomienistym biciem. On podniósł się z ziemi; głębokie, straszne westchnienie wydarło się z jego piersi; on posłał go w niebiosa Bogu, jak ostatni dym szczerej serdecznej ofiary; przycisnął do piersi dziecię, rzucił się w objęcia żony. On teraz miał do tego prawo, bo dusza jego była równie czystą, wysoką; ogień Boskiego ducha, świętego natchnienia, co spłynął do jego łona, — spalił w niem wszystkie zarody myśli szatana. — On błagał żonę powrócić mu serce, pragnął wynurzyć przed nią wszystko; lecz głos stłumiony zbytkiem szczęścia — zaledwie wyraził tylko słowo, jedno słowo wiecznej miłości, a wyciągnione ku niebu ręce i strzelone ku niebu oczy, objawiły niezłomną tego prawdę.

Było im dobrze; promień wschodzącego słońca jasnością odział ich skronie, i dusze ich świeciły jasno. Oni mówili urwanemi słowami; porywy wysokiej bez granic radości podobne do echa wyrazów głębokiego smutku, dzwięczały w tych słowach; a w sercach ich, jak w pogodnych niebiosach, było swieżo — szeroko bez granic.

III.

Chyba tam! gdy nad podłem wzbijemy się ciałem.
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje....
A. M.

Jest cudny, niezbadany instrument w czułej duszy, głęboko ukryty, nikomu niesłyszany. W szczęśliwych momentach brzmi on czarowną muzyką, porusza całą duszę, cały organizm biednego ciała; w piersiach powstają ciche dźwięki, to oddzielne jak gwiazdy na chmurnem niebie, melodyjne jak trele słowicze, to zlewające się w elektryczne massy i śmiałe akkordy, jak wtóry gromow, jak muzyka Hajdna, i cała pierś napełnia się tą Boską muzyką, i cała dusza tonie w tych świętych hymnach. O! z jakim natchnieniem słucha się w tenczas harmonijnych uderzeń serca; zdaje się biednym zmysłom, że skrzydło Serafina z tysiąca stron jego obudza Syońskie motiwy; każde uderzenie pulsu, każden obrot krwi, dźwięczy mile jak cicha, lekka nota

fletu, szumi słodko, jak daleka kaskada w nocnej ciszy, jak wieczorna modlitwa zasypiającej w mglistej sukience ziemi.

Taki stan człowieka, iest jego niebem na ziemi; iest jego doczesną nadgrodą za męki, za bole. Jakaż nadgroda wieczna tam, kiedy tu tyle szczęścia, tyle radości?.... Błogosławiony kto w nią wierzy.

Było cicho, ciepło na świecie, jak w duszy poczciwego człowieka. Czarowny poranek odświeżał naturę balsamiczną wonią, a promienie wschodzącego słońca pozłącało wspaniale głowy kościołów. Tą porą przez wschodnią bramę górnego cmentarza wchodziło dwóch ludzi. Jeden jeszcze bardzo młody w studentskim ubraniu, niósł pod ręką xięgę, drugi około lat trzydziestu, trzymał w ręku kilka flanców rozmarynu. Na tym cmentarzu iest jedno szczególne miejsce, najwięcej godne uwagi, najwięcej godne łez i szacunku. Te miejsce po prawej stronie kaplicy, gdzie wznosi się pięć krzyżów, a pod każdym krzyżem kilku zjednoczonych jedną potęgą ducha, jedną bratnią miłością.

Przy jednym z tych pięciu krzyżów zatrzymali się ci ludzie; na nim był napis: »Spoczywaj drogi cieniu do radośnej jutrzenki.« Oba spojrzeli na napis, — i jakieś jedne wspomnienie spłynęło w ich serca, bo w tym momencie jeden drugiemu rzucili się w objęcia i z ich oczu jak jednej chmurki puścił się cichy ciepły deszczyk łez.

Zwyczajnie jak dobrzy ludzie, jednej duszy, długo, długo niewidzą się z sobą, i w tym czasie

wiele, wiele przeniosą, przecierpią — i miłosierny Bóg znowu pozwoli im zejść się; to w tym momencie staną przed oczami wszystkie obrazy minionego szczęścia i niedoli — i chciałby jeden drugiemu wymówić wszystkie swoje przygody, przelać wszystkie swoje myśli — całą duszę; ale zamiast tego, czegoś ściśnie się serce i niemożna powiedzieć ni słówka; tylko mimowolnie leją się łzy, takie słodkie, takie nieocenione, żebyście nie oddali ani jednej za najdroższe zimne mamidła tego świata. Ale, o jak mało iest serc zdolnych wylać takie łzy!...

— Edmóndzie, Edmóndzie! gdzie nasze szczęście? wyrwał się po chwili stłumiony glos z młodocianej piersi; gdzie ten urok, za którym pędzamy się całe życie? Podobno zarówno przepłakaliśmy nasze wiosny, zarówno doznaliśmy prześladowań losu.

— Zarówno? powtórzył z bolesną ironiją drugi; o dusza twoja, drogi Ernescie! niezniosłaby tyle, serce pękłoby z żalu, lub w zbytku rospaczy dawno byś rospłacił się z życiem

— O! luby, dawny mój przyjacielu! czyż dusza, będąc cząstką wielkiego jej Twórcy, w ciężkich momentach, stać się może tylko słabą, tak słabą iskierką istnienia, że każda fala smutku może ją zagasić? Nie, nie Edmóndzie! dusza dana nędznemu ciału za mocną, niezachwianą tarczę przeciwko wszelkim napadom losu, za niezłomny rudel wątłej łódce naszego istnienia, przeciwko wszystkim bałwanom, na tym burzliwym przeciwności oceanie, którego nazywają życiem.

— Więc dusza iest bez czucia; iest tylko wykonawczą machiną w rzemieślniczém organizmie ciała? O! nie; dusza iest ogniem najczystszej, najwyższej, najświętszej z uczuć, miłości, — ogniem, karmiącym życie, iest źródłem niebieskich idei, wznoszących duch poziomej istoty — wysoko — wysoko w kraj światłości. — A te subtelne włókna łączące nas z ziemią, mająż moc wytrzymać pioruny nieszczęść?

— Coż nas chroni od rospaczy? Czyja potęga zrządza, że jesteśmy zdolnemi przenieść więcej niż nasze pojęcie, nasza wyobraźnia wystawić może?

— Słuchaj luby Ernescie: — jesli kto utraci wszystko — i zostanie na ogromnej ziemi, pośród tłumu, pośród roskoszy, — sam jeden, — a litościwy Bóg, spojrzy na niego i zżaliwszy się nad sierotą, pozwoli mu skosztować na tym padole płaczu niebieskiego szczęścia; i ogień najczystszej ofiary całopalenia wzniesie się w niebiosa — i dwie dusze jedyne z sobą, usłyszą cudną nótę pieśni Cherubinów i już zapomną o świecie, — a potém, podoba się Stwórcy, te spojone świętemi ogniwy, splątane jednemi włóknami życia — dusze, — rozerwać, rozłączyć je na daleko i na długo — aż do dnia sądnego; — czy i w tedy pozostała znowu na ogromnej ziemi jedna, zraniona, stargana, bez nadziei istota, nieobleje się łzami gorętszemi niż samé piekło — i niebędzie przeklinać wątek swojego żywota, aż niewysączy się do ostatniej kropelki niebieskie uczucie?

— A później?

— Później, albo dusza i ciało zawcześnie powrócą do swoich pierwiastków, albo złączone w jedną, — utworzą mumiję długowieczną, bardzo szczęśliwą, która będzie miała oczy, patrzące na świat i ludzi, jak północny xiężyc, bo już niebędzie w niej duszy. — A w kim pozostanie zglisze dawnych ołtarzy, temu wspomnienie niekiedy rozsłoni przeszłości obrazy; temu jeszcze zabłyska w oczach odbity promyczek Boga, a w tedy w wysiękłym źródle duszy będzie tak boleśnie i słodko, jak słabemu sercu, ukołysanemu na różanym łożu snem czarownej trucizny.

— A tyż nie sam; masz przyjaciela, gotowego podzielić z tobą życie, poświęcić je dla ciebie. Tobie uśmiecha się jeszcze młodość, uśmiecha się świat i życie.

— O! ja iestem bardzo szczęśliwy, zawołał z gorzkim uśmiechem Edmónd, spojrzawszy w niebo i utkwiwszy oczy w mogiłę. — Dusza moja zjednoczona z sercem przeniosły się do lepszego życia; tu tylko cienie; tu tylko wspomnienia. Patrz, dodał pokazując Ernestowi rozmaryn, jak zielony, jak swieży; gdybyś widział jak się rozgałęził; to tylko zaledwie tysiączna cząstka całego; a pamiętasz jaką zwiędłą był gałązką, w jaki suchy piasek posadziłem tę pamięć i zaledwie dwie łzy z tak obfitego źródła mych uczuć pozostało, aby ją orzeźwić. A w duszach ludzi, co na wszystko patrzali, czego byli przyczyną; w duszach tych co zabili ją podłém żądaniem światowych honorów, i podlejszą jeszcze chęcią przedania jej za złoto, — dawno wygasła

pamięć o niej, i dawnoby wygasła w tych nizkich duszach prześladowcza trwoga, gdyby nienapominał o przyszłym życiu ten krzyż, ten napis na krzyżu.

I powiedziawszy to, posadził zielone gałązki koło krzyża; skłonił czoło nad mogiłą i skropił ją gorącemi łzami wspomnienia, — a w łonie jego ozwała się całym akkordem ta czarowna muzyka objawienia, muzyka prorocza, przepowiadająca bliskie chory aniołów; w oczach błysnęła jasność, zwiastująca pokój serca i niewymowne uniesienie duszy, takie słodkie, takie błogie, jakby orszak Serafów Bożych owionął ją swoją świętością i oznajmił blizkie niebo.

IV.

In questi voci longuide rituona
Un no so che di flebile e soave,
Ch'al cor gli scende ed ogni sdegno
ammorza
E gli œchia lagrimar gl' invoglia e
sforza.

Dante.

Widzieliście wy kiedy, żyjąc na ziemi, miłość aniołów Bożych; czy przenikały kiedy oczy dusz waszych do świątyni, do ołtarza anielskiej miłości; słyszeliście uczuciową muzykę niebieskich duchów; ich hymny, rozlegające się po całém niebie, przenikające aż do Boskiego serca? Dusze wasze, czy odziewała, napełniała kiedy jasność Boskiego tronu; czy czuliście w tedy ten niewymówiony żadnym językiem, nieopisany żadnym genijuszem — tryumf istnienia w niebie, podziału niebieskiego życia; czy umiecie rospoznać w oczach ludzi ten tryumf; czy umiecie czytać xięgę duszy w oczach?.. Kto umie, — kupcie się wzajemną boleścią, nieście ulgę katuszom

jęczącego ducha. Zrujnujcie potęgą tego ducha gliniane trumny wasze; — a ulecicie skrzydłami Cherubów, lotem błyskawicy tam, z kąd nigdy już ani promień oka, ani wspomnienie serca, — niezleci tu, tak nizko, gdzie błąkają tęskne cienie wasze.

Przy kościołku Matki bolesnej, na dużym grobowym kamieniu siedział ślepy dziad z białemi włosami z lutnią w ręku. Na jego kolana oparło swą głowę śliczne dziesięcio-letne dziécię i utopiło swe oczy w twarzy starca, swój słuch w jego głosie. On z lutnią spiewał:

Aniołku Boży;
Z podnóża tronu
Rzuć twe skinienie.
Promieńmi twemi
Ulżyj katusze.

Aniołku Boży;
Perło Syonu,
Zleć tu, na ziemię
I skrzydły twemi
Owioń mą duszę.

Przy tych słowach, w oczach dzieciny zabłyskały łzy, spłynęły po licach i padły na ręce starca i nikt niewidział ich oprócz Boga i nikt nieocenił by ich, bo ceną ich nie ziemia i wszystko ziemskie. Dziécię spójrzało w niebo; potém znowu wpiło się oczami w twarz dziada. Ono już rozumiało co to za piosenka — nieśmiało jej przerywać choć tyle tęsknoty, tyle bolu wnosiła do jego serca. Dziad uderzał w strony i spiewał dalej:

A cudne blaski,
Twojej sukienki
Mię oczarują;
Spiewając tobie
Wzniosę się w niebo.

Zstąp duchu Boski!
A gorzkie męki,
Co życie trują
Zostaną w grobie;
Ulecę z tobą!...

Ostatnie wyrazy zapadły głęboko do piersi dziecka i nawałem żalu rozlały się w sercu. Ono już niemiało siły stłumić tego żalu, bo całą mocą przytuliło się do starca i przemówiło ze łkaniem: dziaduniu, już mię chcesz porzucić; jeśli tak potrzeba, jeśli taka wola Boża, weź mię tam; o! tam musi bydź bardzo dobrze, tak lubo, tak wesoło — lepiej jak tu; bo gdy spiewasz tę piosenkę, twarz twoja jaśnieje słodką nadzieją, w oczach błyska nie łza, a jakaś radość, jakaś błogość; dziaduniu, gdy będziesz iść tam niezapomniej o mnie.

— O tam bardzo dobrze takim którzy tu cierpią. Za krótkie ziemskie cierpienia nadgrodą wieczne niebieskie szczęście, niezrównane z żadną ziemską roskoszą. Tam jedna myśl, jedna chęć, jedno wykonanie, wieczny hymn rozlegający się po niebiosach, karmiący świętą słodyczą błogosławione dusze; o tam będzie nam kiedyś dobrze....

I natchniony tą świętą myślą już słyszał w duszy swojej ten tryumfalny hymn i pospieszył złączyć

z głosem duchów Bożych czysty strumień swojego głosu: Święty, Święty, Święty Pan Bóg Zastępów....

W tym czasie przechodzili tędy Edmónd i Ernest; usłyszeli spiewanie nabożne i rzucili w połę żebraka po pieniądzu, mówiąc: módl się staruszku za duszę Alexandryny.

Dziad obrócił się ku drzwióm kościołka, ukląkł przy kamieniu, wzniósł ręce do góry i zaczął gorąco się modlić, powtarzając: o! Matko boleśna, ulżyj boleściom tych co ją kochali.

A ci dwaj ludzie, uderzeni widokiem szczérej modlitwy i ostatnich wyrazów ślepego, odszedłszy pare kroków, stanęli i patrzali na niego w zadziwieniu. Ślepy modlił się głęboko, gorąco; oni nieśmieli przerywać takiej modlitwy i sami zaczęli się modlić.

Potém wrócili do Ślepca. Edmónd wziął go za rękę i przemwóił uroczystym głosem: zaklinam cię na miłość Boską, powiedz mi starcze, kto cię nauczył takiej modlitwy, za czyją duszę dopieroś się modlił?

— W piersi mojej, odpowiedział starzec, iest niemylne przeczucie, widzące jaśniej niż wszystkie oczy cielesne. Słyszałem głos twojej chęci, pojąłem ból twojego serca; pojąłem, lecz tym odświeżyłem bolesną ranę i w mojem sercu. O! dobry panie, jeśli to ta, którą widzą oczy mej duszy, którą czuje ma dusza; jeśli to ta, co ratowała mię w nędzy, co pocieszała mię w smutku, gdym widział już śmierć moją, ta, której ostatni głos słyszałem i teraz słyszę w mém łonie, za którą tą

żebrzącą dłonią rzuciłem garść zimnej ziemi, o! jeśli to ta Alexandryna, tam na prawej stronie kaplicy;... a ty łaskawy panie, jeśliś ten, którego imie zamarło na jej ustach?.... dalej niemógł mówić, bo pierś jego ozwała się głuchym jękiem, podobnym do konania, a tam gdzie były oczy nalały się łzy. A łza starca przenika głęboko obecnych, jeśli oni mają duszę, jeśli nie są posągami, jeśli są ludźmi; i każda łza porusza serce do litości, do współuczucia, do żalu.

— Więc ty ją znałeś staruszku, przemówił, tamując łkanie, Edmónd; ty ją tak dobrze znałeś? powtórzył z ciężkiem westchnieniem.

— Oh! znałem tę anielską duszę, i gdy się modlę za nią gdzie w ustroniu, słyszę głos jej w niebie, głos tryumfu, głos szczęścia; widzę ją w blasku, jakby światłość wiekuista cudną tęczą wieńczyła jej głowę; w tenczas zamiast modlitwy za nią, modlę się za moją grzeszną duszę i błagam wstawienia się jej za mną; bo też ona i tu na ziemi już była świętą. Biedna, gasła jak lampa. Jakiś robak ziemski toczył jej serce anielskie; lecz myśl niebieska uniosła go w niebo na wieki. Módl się więc za nami święta panienko, nieskalana żadną ziemską zmazą, żadną myślą ziemską; módl się za cierpiących duszą i sercem, za stęsknionych wiecznego życia.

Te wyrazy jak zatrute boleśną śmiercią strzały, przeszyły piersi Edmónda: zimny dreszcz przebiegł po całym ciele, a ból gwałtowny przywalił duszę.

Tą drogą przeszły dopiero jakieś dwie zakryte welumami kobiéty, każda rzuciła dziadowi po pieniądzu; powtórzyły: módl się dziadku za duszę Alexandryny, dziś dzień jej urodzin; starzec znowu ukląkł i znowu się modlił.

Edmónd i Ernest długo czekali końca tej modlitwy; lecz ta modlitwa była uniesieniem w niebiosa całości ducha, zwróceniem tam wszystkich zmysłów; a kto się tak modli, nie prędko przestaje się modlić.

Więc oni niedoczekali się uwagi na nich ślepca, a przerywać takiej modlitwy nieśmieli.

— Zdaje się, że te damy są krewnemi lub przyjaciółkami Alexandryny? zapytał Edmónd Ernesta, odszedłszy z tamtąd kilka kroków.

— A mnie się zdaje, że to jej matka i siostra.

— Dziwna rzecz żem ich niepoznał i że mię niepoznały.

— Alboż raz umarli znow żyją? wszak mówiono, że widzieli twój pogrzeb — naznaczali nawet godzinę twojego skonu.

— Co za okrucieństwo! Odebrali jej ziemskie wszystko, teraz każą się modlić za nią, jak za jaką ziemską istotę; jakie bluźnierstwo — zabić, umęczyć córkę i modlić się potém.

— Możebyś chciał zrobić niespodziankę swoim zmartwychwstaniem, i za sześć lat po śmierci zjawić się aniołem zemsty?

— Och, luby przyjacielu! bolóm moim w żadnej zemście nie szukać ulgi; miłość moja nie była ziemską tylko namiętnością, abym ziemską rospaczą

gasił moje płomienie; miłość taka nie umiera z ciałem, lecz ze śmiercią dopiero zaczyna stałe wieczne istnienie. Już czas zapomnieć o dawnych szałach; — ofiara spełniona, na jej ołtarzu tylko zglisze uczuć, tylko ruiny ducha.

— Lecz gdybyś był w tedy czém dziś jesteś, rodzice Alexandryny sami związaliby wasze ręce.

— Więc w oczach ich błyszczała tylko politura sławy, tylko ta nędzna skorupa, oblekająca nizką duszę lub nieśmiertelnego ducha podły interes, lub czystą miłość? — To wtedy, kiedym się zrzekał całego świata, kiedym całe istnienie moje święciłem nie dla marnych dobijań, lecz dla czystego celu miłości mojej, dla jednej, wyższej nad wszystkie stopnie, chlubniejszej nad wszystkie zaszczyty — mojej idei; dla jednego z aniołów, co zstąpił z niebios, by urzeczywistnił wszechmocność stania się, — to wtedy oni nieumieli nas pojąć, pojąć to: że związek duszy nie łączy zmysłowa dążność — pozorne formy — wyrazy języka; i że śmierć nierozrywa tego związku, a iest pożądaném przebudzeniem, otwierającém świat ducha, poczynającém duchowe — wiecznie spojone życie? — Pójdę więc, przywdziawszy na się ten cały ciężar światowej potrzeby, pod którem tak chętnie uginają karki i z taką wytrwałością poniżają duszę, ubarwie się wszystkiemi kolorami ziemskiej obłudy, których dobijają się całe życie i jak ćmy, gotują w tych tęczach tryumfalny zgon; a ja wszystko to posiadłem tak prędko, tak łatwo, o nie! tak trudno: bo zamaskowałem żelazną maską me czoło; bo obciążyłem kaj-

danami ducha i wolę; bo myślą moją było: błysnąć temi honorami tyranóm, co nas rozdzielili; zaćmić, nakarmić ich oczy cackami, zdobytemi krwawym potem, oblewającém mię pod ciężarem mojego krzyża. Pójdę, by izucić im w te zmysłowe, zazdrości oczy wszystkich dobijań moich laury, by napoić ich zimne dusze tą ognistą lawą mych cierpień!... Nie! pójdę nadęty memi zasługami, moim znaczeniem, by wzniecić w nich późną zazdrość, późny żal, późną ich niedołężność poznawania ludzi; będę się chełpił z tego, żem zapomniał bardzo prędko o niej; że się szalenie kocham, dawno się kocham, w kim innym godniejszym od niej; będę się śmiał całym piekłem mojej ironii; powtórzę tysiąc razy, że dobrze zrobili rozłączywszy nas, bo to był tylko chwilowy szał, któren może Bóg wie czém by się skończył; że te rozłączenie zrobiło mi świetną karjerę; inaczej byłbym dotąd tylko w duszy, tym wielkim filozofii doktorem, z pretensią do całego świata!.... A, mój Boże! i ja tyle zamyślam! taką piekielną myślą brudzę moją wysoką duszę, tym szatańskim czynem usiłuję orzeźwić chore tęsknotą serce; ach! to byłoby zemstą wylęgłą z bardzo ziemskiej myśli; w tedy, kiedym się całą niebieską myślą połączył z moim aniołem, kiedym tak bliski przelania weń wszystkiej harmonii mojego ducha!....

On mówiłby dłużej, lecz łzy Ernesta zatamowały strumień jego głosu.

— I czegoż płaczesz, przemówił doń z goryczą; wszak tak szczérze wyrażam się tobie, taką

prawdę objawiam ci? O! ręczę, że tu nieznajdziesz obłudy żalu, ani gorączki manij....

— Luby Edmóndzie! zawołał Ernest, rzucając się do jego serca; czyż niemasz siły zapomnieć tak smutne sceny?...

— O tak! wszystkie sceny świata istnieją tylko w oczach tłumu, pokąd na nich tryumfują w laurach, lub konają dziwną śmiercią działacze wielkich imion; lecz temu, kto sam natężał lutnię swego serca, by nótą swoją począć w śmiertelnym łonie nieśmiertelnego ducha, któremu już tak było blisko do świątyni harmonii, że prawie każden jej promyk dochodził serca i zlewał się z jego zgłoskami, temu przechodząc później kwieciste niegdyś, pełne ognia i muzyki tajniki uczuć, czyż podobna nie spójrzeć na pyszne gruzy spalonych ołtarzy, na wyschłe łoża rzeki słodkich łez, i spójrzawszy na nich, czyż można nie powitać drogich pamiątek, tak żywem okiem zaglądających w zwiędłe wędrowca oczy, tak lubo przypominających się jego pamięci?... Witam więc was, moje wawrzyny serdeczne, zimnym uściskiem lodowatej piersi; witam zwiastowaniem prędkiego rozkwitu waszych gałęzi, witam tą łzą tęsknoty i bolu, temi ranami odżywionemi waszym boleśnym uśmiechem!.... Ja z wami, ja wiecznie z wami, na żadną purpurę, na żaden świeży wieniec nie zamieniam ani jednego waszego listka.

— Ach gdybyś był wiedział ile czyniono zabiegów, aby cię odszukać, przeprosić w jej oczach; i tem ją upewnić, że z radością zezwalają na ten

związek. Powtarzano przy niej zawsze jedno: że ten związek urzeczywistnił by najszczersze chęci rodziców. Upewniano biedną, że pojechałeś gdzieś daleko, zasługiwać się jedynie dla niej na jakieś odpowiedne jej urodzeniu honory; że powrócisz prędko; starano formować charakter twego pióra, aby jej dowieść że ją kochasz, że niezapomniałeś o niej. O! gdybyś się był zjawił na tenczas; łzami przebaczenia obmyli by twe lica i ręce, bo z objęć śmierci wyrwałbyś nieopłakaną córkę. Chodźmy więc podzielić ich smutek, żałość tej biednej matki. Ona cię upewni łzami, że serce zawsze było za tobą. Ona ci opowie śmierć Alexandryny, jej niezachwianą i w godzinę skonania miłość.

— Rozdarłeś pierś moją nową raną! Ona mię całe życie i do ostatniej chwili kochała i miłość swoją dla mnie przeniosła w niebiosa, i tam czeka z nią mojego przyjścia? Powiedz że, uraduj duszę znękaną! Ona umarła cicho, bez żalu, bez tęknoty, bez bolu?

— Byłem świadkiem drogi Edmóndzie! niemam siły opowiadaniem moim odświeżać twe przygasłe bole; niemam serca upajać trucizną twojej szlachetnej duszy.

— Takie bole i rany, taka trucizna, są moim żywiołem, moją słodyczą, moją pieszczotą, moim roskosznym życiem; bo w tych ranach, bo w tej truciznie rozkwita nadzieja — wysoka — nieśmiertelna, nadzieja wiecznej miłości. Opowiedz mi więc jej konanie; czy masz zdolność opowiedzieć ten cudny moment ulotu w niebo dziewiczej duszy?

— Serce mi pęka z żalu, czy niewidzisz oczu moich, Edmóndzie! czego żądasz odemnie?

— Ach ty płaczesz luby, przemówił z głębokim żalem Edmónd, ujmując rękę przyjaciela; ty płaczesz? czemuż ja nie płaczę; daj tu twą rękę! słuchaj czy bije jeszcze serce moje? — lód, prawda tylko lód! Mówią że łzy umniejszają ciężar smutku; może więc temi szlachetnemi łzami obudzisz i w mojem sercu jaką zbłąkaną łezkę; płacz więc, płacz i mów ze łzami czego płaczesz?

— Płaczę, zazdroszcząc takiej śmierci; — do ostatniej chwili modlitwą jej było błogosławienie niebios, że otwierają się przed nią; błogosławienie ciebie za przygotowanie ją do niebios; do ostatniej chwili w jej twarzy jaśniała wiara w ten wysoki, lepszy od naszego świat, nadzieja że w tym świecie połączy się z tobą; w oczach jej przebijała się tak wyraźnie jakaś natchniona cicha radość, jakieś nadziemskie poetyczne uniesienie...... i usnęła z anielską spokojnością, dziękując rodzicóm za ich czułość, przyjaciółkóm za ich przyjaźń, upewniając ich, że z radością i że słodko umiera.....

O szczęśliwy! stokroć szczęśliwy, kto spotkawszy spokojnym okiem te wielkie ostatnie doświadczenie, — nie zatrwoży się duszą — i w tym strasznym momencie wyroku, kiedy usta i serce zapomną o fałszu, kiedy oczy przejrzą i dusza ocknie się z letargu, a świat prawdy zajaśnieje całym syonem, — może wymówić: że umiera w pokoju, umiera z radością i że słodko umiera!!...

V.

O siècle! arrache toi de tes pensers frivoles.
L'air va bientôt manquer dans l'espace ou tu voles!
Mortels! gloire, plaisirs, biens, tout est vanité!
A quoi pensez vous donc, vous qui dans vos demeures
Voulez voir en rien etrer toutes les heures?....
L'éternité! l'éternité!!!
Victor Hugo.

Tańczcie, gdy was taniec łudzi,
Ja — garść śmiechu rzucam wam! —
Edmond W.

Piekielna poczwaro, szatanie — poco wałęsasz się przedemną; precz z moich oczu — niezasłaniaj hołdowników twoich; niemąć słodką swoją wymową mego szczérego języka. Niemogę, niechcę, niemam siły dźwigać świata fałszu; niemam serca — malować złotém czarne pigułki trucizny, i truć niemi lekkowierne dusze; niemam zdolności zręcznego wkładania litościwą dłonią różanych wianków na bez-

wstydne czoła i ubierania wylęgłego w zepsuciu serca w lilijowe sukienki dziewiczych wdzięków.....

Słońce zachodzi, ziemia odziewa się w wieczorne sukienki, biedni ludzie przestają pracować — zabierają się do odpoczynku, a bogaci znurzeni odpoczynkiem pragną czémś się zająć, rozerwać; zwyczajnie jak co komu idzie.

W ogrodowym pałacu już płomienieją wszystkie okna, na dziedzińcu rozstawiają kagańce; w około biega mnóstwo posługaczy, a przy drzwiach stoi kilku galonowych. Karety jedna za drugą zajeżdżają; z nich wychodzą strojne damy i kawalerowie i wstępują do sali. A tu tak jasno, tak wonnie, tak ciepło; tu ich świątynia; spieszą do niej by złożyć szczére ofiary swojemu bóstwu uciechi. — Ciemnieje — w ogrodzie chłód czarowny, w ogrodzie roskosznie, w niém można upoić czarami duszę, można rozmawiać z naturą i Bogiem; lecz w niém niema nikogo z tych błyszczących. Wszystko to, tam, naradza się do ważnych rzeczy, zabiera się do ważnych czynów. Cóż to będzie?

Oto muzyczna harmonija wstrząsła obecnych dusze; napełniły się sale; brylanty i omdlałe dotąd oczy strzeliły jednemi promieńmi; wdzięki zajaśniały tajemnemi czary, a serca uczuły życie, ozwały się mocniejszym biciem.

Sygnał uciechy! — jakiegoś tańca zaczęto. Coż to za śliczny taniec; — taniec nad tańce! Wszystkie pa, jakie nowe — cudne — zachwycające. Patrzcie, jak ten nadziemski taniec zawładnął wszystką młodzieżą — jak wszystkich oczy zaślepił.

Rozczulone matki półleżąc na axamitnych sofach, unoszą się nad wiotkością córek i patrzają słodkim okiem, jak w ich hebanowych splotach i na łabędzich łonach migocą perły i brylanty od misternego rzucania nóg i wywijania taliją; jak w oczach tych dobrych matek błyska serdeczna chęć puścić się w ten modny — roskoszny taniec; — ale, ha! już minął ich czas.....

Pioruny balowej atmosfery biją w oczy, — płoną oczy; biją w serca, — płoną serca; — biją w dusze — a tam ciemno — a tam lód, tylko lód!

Ot, tu dopiéro swoboda uciech, tu dopiéro życie, tu te roskoszne niebo, do którego się wznoszą łona wasze, gdzie ulatuje wasza dusza, dokąd tęskni serce! Lecicie tu, aby wyziębić w błyszczącym tłumie, w tych galwanicznych ruchach, temi spojrzeniami uczonemi, wlane niebem na inny cel uczucia? Ciężko, trudno wam nosić w sobie tę iskierkę bóstwa?

Patrzcie jak tu nikt nietraci czasu — jakie tu ogólne życie; cudne, harmonijne życie. Te muzyczne akkordy jak każdym zniewalają do skoków; nawet nie jedna staruszka w ogromnych okularach regularnie wybija nogą takt modnego tańca. A młodzi tańczą, tańczą, zapomnieli o wszystkim, o sobie, i będą tańczyć dopóki sił im stanie, oddechu stanie.

Cóż się dzieje dalej? chodźmy dalej, tam do drugiej sali. Ha, tu inny świat! świat potężnych myśli, — świat olbrzymich planów! Witam was szanowni bohatérowie waszego wieku! O czem że tak

głęboko myślicie? Jak że idą wasze sprawy? Co zwiastują te chmury na czołach — ta niepewność w licach? — Nie trwożcie ich, bo myśl strwożona wykluje się dziwolągiem lub zamrze bez objawu....

A tu jeszcze panuje modny taniec. Wszyscy tańczą z taką chęcią jakby dopiero zaczęły go.

A cóż to za dziwny siedzący tam w kącie samotnie; cały w czerni. Od samego początku on nietańczył modnego tańca — i nikt od niego nie słyszał jednego wyrazu, niewidział jego uśmiechu. Pocoż on wszedł tu? jakie jego cele? Coż się dzieje w jego duszy, kiedy taki chaos ziemskiej roskoszy, tyle promieni kłamiących miłość oczu nie zdołają go poruszyć, wyjaśnić jego posępnych rysów? — Biedna ta dusza!

Oto obok niego usiadł jakiś akademik z uczoną fizyonomiją. On dopiéro skonczył modny taniec i zachwycił niém swą tancerkę. Teraz odpoczywa; patrzy przenikliwie na sąsiada i dziwi — że go niechwali.

— Edmóndzie, jakże ci pokazała się Elodja w ostatnim tańcu? przemówił zniecierpliwiony, biorąc go za rękę.

— Elodja? ona tu? ozwał się cicho Edmónd zdziwionym tonem, jakby przebudzony jakim snem przepowiednim; Elodja, ona tu?

— Ona i jej rodzice; alboż nie widziałeś ich dotąd? poczekaj ukażę ich; przypatrzysz się Elodij; nadzwyczajnie podobna do swej nieboszki siostry.

— Alexandryna podobno nie tańczyła, nie bywała na balach?

— Coż widzisz w tém złego?

— Nic, mówię tylko że Elodja zupełnie niepodobna do siostry. Może gdyby żyła Alexandryna, nie zaniedbałaby uczynić ją podobną do siebie. Jednakże ukaż mi ją, tylko nieznacznie żeby nikt niepostrzegł, a tém więcej ona lub jej rodzice; mogliby mię poznać, a to jeszcze wcześnie.

— To niechcesz odnowić dawną znajomość?

— Mówię ci, to byłoby wcześnie. Mam w tém jakieś dziwactwo. Sześć lat nikt mię w tém gronie nie widział, i gdyby nagle postrzeżono, może stałbym się celem powszechnego zadziwienia. Przyszedłem tu, żeby na nich patrzeć, a nie na to, żeby na mnie patrzano.... Elodja pewno wyrosła we wszystko, a w tenczas takie jeszcze było dziecko. No, coż, pokażesz mi ją?

— Ernest spojrzał w oczy Edmónda i wyrzekł cicho: widzisz, pod wielkim pająkiem w rubinowej diademie, ot teraz idzie z matką w tę stronę.

Edmónd rzucił oczyma na wskazane osoby, a jego sąsiad, korzystając z nieuwagi towarzysza, ledziutko odpiął górny guzik jego fraka i wyciągnął aż na piersi wielki krzyż czerwony, któren błysnął mdłym światełkiem, jakby świadczył o czemś.

Wszystkich oczy tu, do tego zimnego krzyża, tu się skupiły wszystkie rozumy, by odgadnąć znaczenie tego krzyża, zbadać człowieka co go przywdział. On tak jeszcze młody, a już nosi znak wysokiej zasługi — i wzajemne pytania zalały wszystkie usta: kto on, z kim wszedł, kto go zna? Wspomniane dwie kobiety o dwadzieścia kroków

spostrzegły ten krzyż i podwoiły kroki by się przypatrzyć prędzej jaki to order. Już były blisko, ale nie łatwo mogły przywitać ten krzyż, bo jedni za drugiemi przechodziły tędy bez ustanku. W tem Elodja mocno ścisnęła rękę matki i ledwie niekrzyknęła, ale jakieś nagłe zdziwienie stłumiło jej głos. Matka odprowadziła ją na stronę, spojrzała w oczy; a ona taka zmieniona. Coż ci iest moje dziécię?

— Nic, czegoś mi źle; jakieś dziecinne wspomnienie stanęło mi w oczach.

— Coż, co takiego mój aniele?

— Zdało mi się, że ten smutny mężczyzna z krzyżem na szyi..... Edmónd.

— Jaki Edmónd?

— Ach mamo, mamo, czy podobna tak prędko zapomnieć Alexandrynę? — przeklęty bal....

— Uspokój się Elodjo; wszak to już tak dawno było. Edmónda niema; to musi bydź kto inny, i ktoż mógłby tak cię zatrwożyć? Chodźmy, przypatrzmy się; przekonasz się że to nie on; a gdyby i tak było, coż cię ma lękać. On zawsze był dla nas grzeczny i nigdy niemógłby winić nas, wiedząc o wszystkim.

I znowu zwróciły swe kroki gdzie siedział ów człowiek z krzyżem, ale już niepodobna było widzieć go, bo w kilka rzędów stały w około: dawni znajomi, koledzy, przyjaciele, naczelnicy; każden powtarzał: Edmónd, to nasz poczciwy Edmónd, jakże się masz, zkąd przybywasz drogi Edmóndzie? i tak pytali się o jego zdrowiu, o przygodach, o wszystkim co komu przyszło na pamięć i spozierali

na duży krzyż na szyi, a on milczał, tylko czegoś szydersko się uśmiechał do tych co go niemieli i nigdy mieć niebędą.

— Widzi pani, co się stało z tego człowieka, rzekła z cicha jakaś dama w brylantach, podając rękę matce Elodij, szkoda Alexandryny.

Krwią zaszło serce matki na wspomnienie tego co ją i tak bolało; spojrzała w oczy mówiącej i pierś cała zapłonęła piekielnym ogniem, a serce ścisnęło się drugim potężniejszym bolem. To była jej rywalka. Cisnęła na nią błyskawicą nienawiści, z pogardą odwróciła potem oczy i wyszła spiesznie z salonu, uwlekając za sobą córkę. Kobieta zrozumiała kobietę. Spojrzenie zatrute nienawiścią i pogardą rozlało się w duszy szatańską zemstą. Te spojrzenie widziało sto ócz, powtórzą przed światem tysiące ust, myślała okryta zimną maską Olga, i jutro, nawet jutro będą mieszczki ukazywać palcami.... gdzież on? ach! ona sama, sama jedna stoi po środku jakby wytrącona ze społeczeństwa, a w około brzmi muzyka i wichszy się wals, to błyskają szyderskie spojrzenia, gdzież on? Oto wychodzi z drugiego salonu jakiś wysoki, chudy, w okularach, z ogromną jak xiężyc gwiazdą, mężczyzna, zbliża się do niej, podaje ramie, pyta co jej? — i to wszyscy widzą, wszyscy słyszą; — a ona wyciąga ku niemu dłonie, ona powtarza oczami; żona twoja zabiła mię, pomścij się za mnie! Chodźmy, uciekajmy ztąd, tu wszystko zatrute!

I uchwyciwszy go za ręce całą siłą, wyciągnęła z salonu i powlekła upadłą duszę z piekielną

myślą rujnowania dzieła dobroci Boskiej, rujnowania do szczętu małżeńskiego pokoju, gotowania dla siebie piekła. O biada, biada wam! was dużo takich!...

Było już widno na niebie, gdy oni wracali we dwojgu do jej powozu, a jeszcze prawie wszyscy, oprócz kilku co wcześnie pożegnały bal, — niechcieli żegnać się z roskoszą zmysłów; jeszcze w prawym salonie siedziało kilku bohaterów szerokich myśli, a w lewym, jeszcze rozlegała się muzyka i wichszył się wals i łamał się modny taniec, a lica tych co go tańczyli były blade, jakby ciężką chorobą zużyte, a oczy zapadłe i usta sine, jakby bliski zgon zwiastujące. Jednakże ci wszyscy jeszcze dotąd nieupili się szaleństwem, nie strudzili swych myśli, bo każden robi swoje i takby przeszalał całe życie, gdyby te zdradzieckie, przeklęte słońce nieoświeciło ciemnoty, niezabłysło im w oczy i wzniosłszy się wysoko promieńmi swemi, nieprzenikło czaszek i nie przypomniało im że iest wszystko-widzący.

I tak płynie zakreślony żywot ziemski, przeznaczony Stwórcą na inny cel. Kto widzi go okiem wiary, ten niechybi go. A komu przemocą ciśnie się prawda do serca, kto w szale leci w odmęt próżności, by ją przytłumić, wyplenić, ten będzie radością piekła. Młodzieńce zużyli myśli i ducha próżnością, wygasili serdeczne płomienie zmysłowem rozumieniem wysokiej idei miłości; patrzą ozięble na wszystko oprócz złota i głupstwa; nic, tylko to zdoła ich zająć, poruszyć; wiara w nich umarła, bo w świętość wiekuistej prawdy, w wyższe uczucia

niewierzą. Dziewice w bezrozumnej dumie i dzikiem zaślepieniu, ściągnąwszy łona i serca w żelazne okowy sznurówek, okrywszy się welumem obłudy i kłamstwa, — żałobną drogą lecą błyszczéć na targowiskach fałszywych wdzięków. Oczy ich nie blaskiem miłości, a gorączkową febrą płoną; usta nie uśmiechem aniołów czarują, a konwulsijną przerażają sinością; na licach niewidać zdrowia, rumieńce dekretowych suchot, grożą im śmiercią w kwiecie lat; dnie ich nieznośne, tęskne, długie, a noce roskoszne, bardzo krótkie. I prędko biedne tracą zaczątki niebieskich uczuć, prędko więdną serca i upadają żywotne siły, a straszna powszechna choroba gwałtownym rozszerza się wzrostem i władnie całym organizmém duszy i ciała. Giętkie ich serca, bez przewodnika, nęcą zwodnicze połyski światowego kalejdoskopu, i gdy one rozkwitną, już niebędzie w nich ni koloru ni woni. A w tenczas, kiedy nastałby czas ich wysokiego przeznaczenia, w tenczas mogliby, w nadgrodę za ciężar życia, nadziemskie szczęście i anielską słodycz rozlać w około — daleko, dokąd tylko doleciałoby ich spojrzenie, ich uśmiech, ich głos; mogliby cały świat poświęcić miłością i rozłamane jego cząstki spoić w miłości, połączyć w jedno serce; mogliby do wysokich myśli i czynów rospłomienić najzimniejsze dusze i w szumach tego świata napomnieć szaleńcóm o cudnej dobroci Boga, o przyszłem wiekuistem życiu, dać im ideę tego życia; a tak istniejąc z nami mogliby bydź prawdziwie szczęśliwemi i nas prawdziwém szczęściem obdarzyć.

VI.

Tu płakać, tu żałować, tak słodko, tak mile,
Jakby szczęście wróciło stracone w mogile.
Tu jedna łza pokuty waży się z grzechami...
W. C.

Są niebieskie wspomnienia, roskosznych obłąkań i ułudnych grzechów młodości, kwitnące w dziewiczej duszy wonnemi kwiaty; lecz gdy one uwiędną pod skwarem wczesnego słońca, — nieodżyją więcej, choćby były roszone własnemi i cudzemi łzami, jak te gwiazdy na niebie serca co zapaliły wczesne szały, — niezapłoną słodkim promieniem, niezaśmieją złotym uśmiechem w ostygłej piersi.

Są wspomnienia bolesne, okryte lekką powłoką przeszłości, drzémiące pod cichym niebem, wiejącym łagodne, balsamiczne tchnienie przyszłości. O! niechże żadna obecna chwilka rzeczywistych uroków ziemskiego szczęścia, swą ułudą niebudzi tego marzenia, nie trąca bandaży zapomnienia: bo z podnich wytryśnie obfitym strumieniem świeża krew i

odkryją się świeże rany, równie bolesne, równie męczeńskie jak w dniu zadania ich nielitościwą dłonią losów, żądłem fanatyzmu, ślepoty, zawiści lub zdrady.

Błogi ranek. Wschodzące słońce rozlało po górach purpurowe ognie i unizało brylantami spienione brzegi rzeki. W niebiosach widno Boga, jak w oku niebianki widna miłość. Z otwartych okien roschodzą się zapachy kwiatów, rospływa się harmonija fortepianów. A w jednem oknie bieleje jak jutrzenka przy świtaniu czyjaś twarz. Po ulicy Ś. Cyryla, snuje się mnóstwo ludzi: to idą, to pędzą, to ze spuszczonemi w ziemie oczyma, to z zadartym łbem do góry; w zielonych, w niebieskich okularach, co niechcą widzieć świata w jego kolorze, natury jak ją Bóg stworzył. To fanfaroni w rannych negliżach na rannym spacerze, to dobrzy sobie ludzie. Jedni może filozofi bardzo wysoko myślący, inni podli, karmiący serca najniższemi myślami, a tamci niewiniątka Boże, prostaczkowie w duchu, niemogący ni wysoko ni nizko myśleć, i myślący o niczém — najszczęśliwsi z ludzi.

Inna siedząc z Lawaterem w oknie i patrząc na ten charakterystyczny teatr, miałaby prawdziwie zajmującą rozrywkę, a ona nie patrzy na nic, nie widzi nic co się dzieje przed nią. Jej oczy uleciały na tę wysoką górę, gdzie tyle krzyżów Pańskich promieni się od słońca. Przed godziną cała jej myśl zatopiona była w rozpamiętywaniu wczorajszej próżności, w żalu straconego w niej czasu, a w tej obecnej godzinie ona z całą myślą i duszą tam, bo

tam serce jej czegoś bardzo tęskni i rwie się, bo tu niema nikogo, któren by zrozumiał tę tęsknotę i nią się podzielił, bo ta, co umiała zaszczepić w niej żywym przykładem wyższe pojęcie, spoczywa snem długim na tej górzy. Dziś rocznica jej uśpienia, dla tego tyle smutnych wspomnień wciska się do duszy.

Zadzwoniły dzwony górnej kaplicy, jeden po drugim tak żałobnie, tak smutnie, jakby chciały upewnić, że jej już niema dla nikogo na ziemi. A w piersiach Elodij żałośnie i tęskno ozwała się dusza i serce ścisnęło się takim bolem, jakby stanęło w jej oczach te łoże z konającą siostrą, jakby widziała te gasnące oczy, pełne nadziei niebieskiej, te wyciągnione ku niej objęcia; jakby czuła dotąd ostatni jej pożegnalny uścisk — tak na długo; jakby powtórzyły się jej ostatnie pełne prawdy, bo w godzinę śmierci, wyrazy: tam będzie lepiej.... czekam was.... niepłaczcie, umieram w pokoju — słodko umieram....

Za kwadrans potem weszła matka, spojrzała na Elodję, a ona jej niepostrzegła; otarła więc oczy, bo czegoś płakała osobno, zbliżyła się do córki i rzekła smutnie: czy wiesz na co to dzwonili? A ona nic nieodpowiedziała, tylko obiemi rękoma ujęła szyję matki, a głowa opuściła się ku piersi i usta i cała ona drzały jak liść jesienny, któren co chwila oczekuje rozstania się z rodzinną gałązką na wieki.

— Lube dziecię, my się nierozdzielim nigdy!

— Nigdy najdroższa mamo! gdy ty umrzesz, ja pójdę do grobu za tobą! Wczoraj tak było nam wesoło jeszcze!

— Od dziś Elodjo, zaczniemy inne życie, bo dla mnie pozostał tylko Bóg i ty!

— O Boże! gdzież papa? gdzie luby papa!

— On żyje, ale nie dla nas. — On przestał nas kochać; przestał żyć dla nas. Wczoraj przekonałam się o wszystkiem.

I zajęczały razem jak dwie synogarlice, i z ust ich wyleciało kilka wyrazów obrażających Majestat Pański: »Nacoś nas stworzył?« Ale im przebaczy Bóg, bo oni bardzo nieszczęśliwe, bo w nieszczęściu człowiek niewie co mówi.

Potém wzięły się za ręce i poszły tam gdzie ciągnęło ich serca, gdzie rwały się ich dusze; poszły na wysoką górę do pięciu krzyżów. Tam one ukoją troski, orzeźwią łona, nauczą się żyć, wierzyć i niewierzyć.

O jakiż tu pokój, jak cicho, ani wietrzyk niezatrwoży na mogilnej trawki; jak tu lubo stroskanej piersi wypocząć, zbolałemu sercu wypłakać ciężar smutku, chorej duszy odżałować przeszłość; jak tu słodko myśleć — rozpamiętywać. Tu rzeczywiście daje się czuć biednemu ciału obecność duszy; niepojęte staje zrozumiałym — aksyomą. Tu otwierają się oczy duszy i widać jak czas grubemi chmurami płynie do wieczności i unosi z niemi co chwila tysiące ludzi i scen ludzkich; słychać głuchy szum jego skrzydeł rozpostartych w równi z obu końcami osi ziemskiego globu. Z każdym uderzeniem pulsu,

wskrzeszają się niewidomą mocą istoty, co niegdyś były wwikłane do duchowego życia na ziemi; ich senne twarze, coraz wyraźniej rozwijają się z mgły zapomnienia, wypływają, jak z chmur gwiazdy, na horyzont duchowego świata i budzą się jakby z letargu długiego; duch niebieskiego życia wyjaśnia ich formy i nadaje każdej swoją wszechmocą, jakąś niezbadaną dążność, jakiś tajemniczy kierunek — bez myśli — bez chęci. — Roschodzą się mgły, jakby zwiastowały wschód słońca. Jasny błękit rozlewa się po nieprzejrzanej przestrzeni; wielką świętą uroczystością napełnia się powietrze; balsamiczne wonie wydają niebo i ziemia; anielską harmoniją brzmi cały Syon!... To powstaje świat ducha — to wschodzi słońce prawdy — to wstępuje do duszy światło światłości — Bóg!!! Tu nieście serca wasze znękane niedolą, rozbite losem.

Ale czemuż obecnej duszy ziemskiej istoty tak w tedy boleśnie — tak tęskno? Czy że zerwała związki z światem interesu, z myślami zwierzęcej namiętności, i jej cielesne oczy niepasą się zimnym złotem, i czułe jej włókna niewikłają się w pajęczynę sławy, i ogniste jej serce nie trąca o pierś z lodu — czemu? Niech tę zagadkę rozwiążą mądry psychologowie. Mnie boleśnie, mnie tęskno dla tego tylko, że ledwie myśl orzeźwi duszę i rospromieni swe tęcze; okowy życia zadzwonią w uszy piekielnym wezwaniem: powracaj do łez i żyj jak ślimak....

Już się wszyscy rozeszli z kaplicy, gdzie odbywało się ranne nabożeństwo; na cmentarzu pozo-

stały tylko Elodja z matką, i siedząc w milczeniu przy ulubionych mogiłach, patrzały w przyszłość, bo teraźniejszość rosprysła ciężar kajdanów ich życia, bo posłanka światłości — nadzieja upromieniła niebieską jasnością ich dusze, bo wiara rozszerzyła w ich sercach swą wszechmoc i obudziła świętą radość w duszy; a radość duszy prędko zawładnie wszystkiemi uczuciami serca, i na jej wezwanie powstanie z martwych muzyka tajemnych dźwięków co oczaruje swą boskością znękaną jarzmem życia istotę.

— Jak nam tu dobrze droga mamo, przemówiła Elodja, na sercu tak mi lekko.

— Czegoż płaczesz jedyna nadgrodo moja na ziemi? całując jej lica, zapytała matka.

— Ach mamo! łzy moje płyną same; nic mię nieboli, nic nie dolega; Alexandryna tu znami tak blisko — jak że zimno być musi jej w grobie?

— O! ona daleko od nas, — wyżej słońca. Tam i my polecimy kiedyś.

— Czy widzisz luba mamo te wianki różane, krzyż Olesi jak ślicznie ubrany; to pewno Edmónd taką jej zrobił przysługę — i po śmierci ją kocha jeszcze. Mamo, czy po śmierci można kochać?

— Początkiem miłości iest Bóg; miłość iest w duszy i jak dusza iest nieśmiertelną. Lecz niebieskie uczucie nie w każdej płomieni się duszy. Szczęśliwy na ziemi kto dusze swoją uświęcił tém uczuciem, i żadną myślą ziemskich uciech nieprzygasił tego świętego płomienia; szczęśliwy kto w drugiej duszy usłyszał swoje hymny!...

— Mamo, my nigdy więcej niebędziemy naśladować innych; ach jak że mi żal, żem wczoraj tak byłam daleką nieba — aż nadto byłam ziemską, nadto wierzyłam światu.

— Jarzmo potrzeby luba Elodjo.

— Lecz odtąd niezrzucę zimnej maski przed obliczem zwodniczego świata; dziś oczy moje przejrzały; dziś dusza moja uczuła inne istnienie; niezazdroszczę już nikomu; ileż litości spłynęło dziś z niebios do mojego łona; o jakże lituje się nad temi, co tak jasno błyskali wczoraj, jak lituje się nad wczorajszą Elodją; o któż pamiętał z nich, że iest życie za światem, że iest życie i miłość za granicą grobu.

— Życie — miłość za granicą grobu? powtórzył głos nieznajomca, ukrytego dotąd za ścianą kaplicy, któren błyskawicą zjawił się przed niemi. Powiedz że kochane dziecię, kto cię nauczył tej mądrości nadziemskiej?

— Edmónd! to nasz Edmónd kochany! zawołały z uniesieniem Elodja z matką.

— To znacie mię dotąd? wymówił ze łkaniem, całując ich ręce; to uczucie niezgasło w duszach waszych; modlicie się za duszę Alexandryny? O błogosławione istoty! wierzycie w nieśmiertelność! — Ozwijcież się teraz z mogił swoich czarodziejskiemi tony wskrzesiciele ducha! Zagrzmij organem swoim święta ziemio! Zmieszajcie swe chóry z arfą mej duszy — poszlemy hymn Bogu!.... Niestety! niema głosu w zamarłych piersiach, przywalonych takim ciężarem zwiru! Wszyscy milczą; muzyka ich z ży-

ciem uleciała w niebiosa. Tam zlała się w jedną wieczną pieśń anielską: Święty, Święty, Święty! Dziś brzmi ona w mej duszy, nią cała moja dusza brzmi! O jakże mi błogo! Jej potęga rozrywa ciężki łańcuch, którym byłem przykuty do ziemi. Duch mój w obłokach; oddecham ciszą; piję jasność; cały iestem cisza i jasność; słyszę głos twój o luba Cherubinie mego serca, głos przebijający się przez tysiące anielskich głosów; iestem blisko ciebie; widzę cię w orszaku duchów; skronie twoje odziane najświetniejszą tęczą! O spiewaj, spiewaj ma luba! spalone łono moje pije tony twe z takim pragnieniem, jak piaski Sahary niebieską rosę i rozkwita me serce, jak nocny kwiatek od miłośnych spójrzeń gwiazd! Siostro! czemu niepłaczesz radośnemi łzami, wszak ona tak blisko! Matko łącz nas!

Zdawało się, że z ostatnim wyrazem pękła mu pierś, zamarło życie. Obnażył łono i padł niem na mogiłę Alexandryny. Elodja z matką zalały się łzami żalu; myśl: on nieżyje, przeszyła ich serca; lecz on żył; on zaczynał życie. Podniósł się, spojrzał na mogiłę, potém w niebo; załamał ręce i zawołał cichym bolesnym głosem:

— Nie! niespiewaj aniele Boży! niełącz nas droga matko! Niech pożar uczuć moich spali do szczątka zpróchniałe resztę trumny mojego ducha; niech rozerwie ciężkie okowy ciała! Wtedy dopiero połączeni duszą na wieki — u podnóża Pana panów zaspiewamy z tobą w jedno-weselną pieśń: Święty, Święty, Święty!...

— Edmóndzie synu mój! przemówiła żałośnie matka Elodij, — o czemuż niebyłam szczęśliwą patrząc na wasze szczęście?

— Matko droga! Tyś zawsze była matką; przyczyną jej śmierci tygrysie serce ojca. On ją zabił namiętnością podłego zysku. On cię zabije — przeda! Oby przeczucie moje było zwodniczym; oby życie wasze promieniło się blaskiem najwyższej radości; oby serca wasze płonęły uczuciem niezmiennej miłości... Ja w dzień smutku odwidzę was! Żegnam — ninie żegnam was!

Ucałował mogiłę Alexandryny, ostatnia łezka spadła na trawki brylantową perełką i już go niebyło na tém miejscu. Elodja z matką patrzały długo jak błąkał między mogiłami, jak potém spuścił się z góry i zniknął w tłumie, długo perliły się w ich oczach słodkie łzy prawdziwego żalu, a myśl o Alexandrynie pozostała w ich sercach na zawsze; nakoniec rzekła do Elodij matka:

— Otrzyj łzy, powrócim między ludzi. Oni niewierzą w nie; oni niepojmują ich!

Elodja westchnęła głęboko; wykonała roskaz matki i poszli z góry; lecz pierwej nim łzy otarła, ona spojrzała w niebiosa i w oku jej odbiła ta cudna świecąca tylko w oczach duchów patrzących na Boga iskra nieśmiertelnej, karmiącej niedolne życie — nadziej. A dla czegoż ta anielska dusza z taką roskoszą zajrzała w niebo? Och! wielu iest co upatrują tam oczami żywej wiary słodkie życie bez chmur; co czują tam wysoką bez granic radość połączenia serdecznych rozbitków, połączenia już bez łez już na

wieki. Lecz czyjeż oko przejrzało wszystkie tajniki przybytków światłości; czyja mądrość zrachowała skarbnice niebieskich roskoszy? O niebo! moja radość jedyna! moja jedyna myśli! Ty dostępne tylko duszy, żyjącego duszą, bolejącego sercem. Ty blizkie tylko myślącego o tobie; lecz dalekie wyobraźni wiecznie zmiennej, najczęściej fałszywej. Biedny, żyjący wyobraźnią nieczystą wiarą człowieku! Osądzonyś tylko zagłębiać się w kropelce kryształu, badać życia atomów, śledzić cele mrówki, dziwić się zapłodnieniu trawek, uczyć się mądrości od pszczoły i na próżno wysilać swą ziemską, doczesną, biedną mądrość, i zatapiać się zużytą, stępioną myślą w ciemnych, niezgłębionych otchłaniach przedwiecznych zagadnień! Ale, w czyich oczach zniknęła ziemia, kto zdołał oderwać swe serce od jej złoconych skarbów i przynieść je tam, gdzie przelały wszystkie jego nadzieje, całe jego przeżyte życie, kto skosztował ziemskiego owocu gorzkiego doświadczenia i komu tylko omdlałe uderzenie pulsów napomina o niezmierzonym przedziale ciała od duszy — o! temu boleśnie, temu tęskno przedrzaźniać ziemskich mędrków, giąć się i pełzać w prochu przed złotemi bałwanami i deptać je myślą; temu już brakło siły oddzielnie kierować językiem i sercem; temu śmiertelnie ciężko: dźwigać w duszy jarzmo potrzeby i na twarzy żelazną maskę pogody, i tłumić w łonie pioruny, cisnące się boleśnym na świat uśmiechem i żyć dwoistym życiem: ciałem, snuć się błędnym ogniem po bagnach ziemskich, a duszą jaśnieć w świątyni Syonu!...

VII.

O fantôme muet, o notre ombre, o
notre hôte!
Spectre toujours masqué qui nous suit
côte à côte,
Et qu'on nomme demain!
Oh! demain c'est la grande
chose!
Victor Hugo.

Dwoiste życie człowieka łączy się tylko subtelnym promykiem wiekuistego słońca. Po niem spływają i wznoszą się żywiące balsamy i niebieskie harmonije, utrzymujące chwilowe istnienie ducha w łonie. Bywają szczęśliwe momenta, kiedy pierś przepełniona anielską ambrozją, unosi na swych słodkich falach drzémiące serce, ukołysane melodiją natchnionych dźwięków — i pragnie podzielić się tą roskoszą, pragnie przelać do drugiej piersi zbytęk natchnienia — przepełnienie szczęścia — O! w tenczas, niech żaden ton fałszywy nietrwoży tej drzémoty; niech żaden odblask zimnych promieni niezaziera do

duszy bo w tedy te cudowne życie nagle zmieni się w długie akcije mąk piekielnych; piersi zaleją jady ciężkich wspomnień; mgły czarownych omamień rosprysną się — i ukaże się świat nieprawdy: te wiecznie kłamiące usta i oczy, pełne słowiczych dźwięków i żądeł gadzinich i naga prawda, żyjąca w samotnej duszy, rozświetli zamglone roskoszną ułudą oczy, rozwidni przed niemi tajemnicze zwoje scen zmysłowego świata — i skrysztali obecne czaszki i serca, — o! w tedy człowiek z takim świętym usposobieniem, okropnie — szatańsko grzeszy. On klnie wątek swojego życia; narzeka na Stwórcę, że go obdarzył tym biednym rozumem — że mu dał czucie; zakrywa oczy — ucieka w pustynie, gdzie niewidać obrazu człowieka, gdzie niesłychać ludzkiego głosu — tam, rospamiętywa rzeczywistość, chce w nią niewierzyć, pragnie zamienić w sen — i dziwi się nieogarnionemu miłosierdziu Boga: że ziemia dźwiga jeszcze taki ciężar fałszu; że niebiosa tak obojętnie na to patrzą! — Och! natenczas, dusza boleje bardzo i wyraźnie pojmuje swoją samotność i tęskni harmonij z niebem.

Dziesiąta wybiła na wszystkich wieżach; słońce już było wysoko i prześlicznie świeciło jednakowo dla bogaczów i ubóstwa, cnotliwych i występnych: bo różnica dopiero tam, po śmierci nastąpi. W sypialnym pokoju Baronowej K. okiennice były jeszcze zamknięte, firanki zapuszczone i na stoliku paliło się dwie świece, stał kałamarz z piórem i leżał herbowy papier. Przy stoliku siedział w Wolterskim krzesle, oparty głową o boczne poduszki osłabiony

bezsennością, napuszony dumą — nie młody mężczyzna. Widać o czemś ważnym myślał, kiedy myśl zwyciężyła sen, lub jeśli podle myślał — był w mocy szatana: bo sen iest roskoszną nadgrodą za troski dzienne, bo sen iest słodkim wypocznieniem po mozołach pracy, iest harmonijną kolebką niewinnego serca, muzyką anielską zsyłaną z niebios na pociechę, na pokarm chorej duszy. Na bogatym łożu z drugiej strony stolika siedziała w negliżu Baronowa. W jej oczach malowała się złośliwa niecierpliwość. Cały wzrok miała zatopiony w twarzy sąsiada, tak głęboko, jakby znała zupełnie jego myśli i śledziła ich dążeń i czekała ich objawu; już kilka błyskawic mignęło w jej oczach i ustach, a on ciągle milczał, jakby wahając się odkryć co myślal; milczał: bo trudny, ciężki rozbrat z nadzieją na wieczność, bo zamian życia na śmierć przewodniczy walka duszy z potęgą duchów ciemności. Biada temu kto w niej się podda! biada! bo temu już nigdy nieoglądać wiekuistego słońca! Nakoniec pękła cierpliwość Baronowej. Chwycila za rękę sąsiada i zawołała z gniewem:

— No, i cożі tak ci trudno okazać choć ten zimny dowód twego przywiązania za moje ofiary, za poświęcenia dla ciebie, że od zachodu słońca o tem myślisz? O! niezwodź mię dłużej: bo rospacz kobiety, co wszystko stracila w miłości i dla niej — iest wściekła! Mów mi jedno: mam-li umrzeć, lub żyć! Obelgi mojej niezniosę!...

Okropną febrą zadrzały wszystkie muskuły niewolnika piekła — upadła słaba dusza i znikła jej

jasność jak błękit niebios zasunięty straszliwą chmurą. Pobladły mu usta i zciemniało w oczach na widok obnażonego sztyletu, któren trzymała w drugim ręku Baronowa przeciw swej piersi — i wyrzekł zebrawszy wszystkie siły:

— Ty luba jeszcze mi niewierzysz? Czyjeż poświęcenia są większe; czyje ofiary są droższe? Myślałem tylko o tém jak zabezpieczyć los mojej żony nadal — i jaki podać bardziej stosowny powód do rozwodu.

— Więc dopiéro teraz o tém myślisz! wrzasła z przerażliwą złością Baronowa i podniosłszy nad swą piersią sztylet, gotowa była ją przeszyć; lecz dłoń sąsiada powstrzymała ten zamach.

— Droga Olgo! czy sądzisz że przeżyję ciebie, przemówił zwolna, padając w jej objęcia. Jutro nastąpi chwila, po której nierozłączymy się wiecznie, jutro powtórzę ci już ostatnią przysięgę!

— Płonne urojenia! Ty niewidzisz łez moich — nieczujesz moich boleści; tyś zimny kamień bez życia, bez uczuć. O! jakże ci łatwo zabić biedną kobiétę!

— Ja chcę cię uszczęśliwić, siebie uszczęśliwić twoim szczęściem!

— Jeszcze żadnych niedałeś dowodów.

— Czegoż żądasz?

— Najpierwiej zapisz mi 50 tysięcy rubli na zabezpieczenie twego dziécięcia.

— Luba, wszystko twoje!

— Cożci szkodzi to uczynić?

— Jakąż to będzie miało minę. Alboż mi niewierzysz?

— Ktoż zaręczy że jutro będziem oboje żyli? A jesli ja pozostanę sama, okryta hańbą?... I ty tak iesteś obojętnym na moje wezwanie; O ty nieczuła istoto!

— W jakimże guście chcesz mieć ten dokument?

— Chcę mieć prosty wexel na 50 tysięcy rubli; oto masz szacunkowy papier na tę summę — i podsunęła mu arkusz herbowego papieru.

On wziął pióro, pomyślał i zaczął pisać:

»18** roku, 15. Sierpnia, pożyczyłem na własną potrzeb pięndziesiąt tysięcy rubli, które lokując »na całym moim majątku, obowiązuję się wypłacić »z prawnym procentem J. W. Baronowej Oldze K. »od tej datty za rok.«

Leon R.

Skończywszy, podał ten dokument Baronowej, mówiąc:

— Coż jeszcze masz do roskazania? Widzisz że w miłości jestem prawie machiną twych chęci i życie moje od ciebie zawisło.

Baronowa chciwym wzrokiem przebiegła cerograf, i schowawszy do toalety — rzekła:

— Mówisz że jutro już będziemy razem, że od jutra zacznie się nasze szczęście; — a masz-li do tego wszystko, co iest koniecznym do tak ważnego kroku?

— Mam najszczérsze chęci i serce.

— Tego niedość! Czy masz wyraźne — jawne powody do rozwodu?

— Niemam jeszcze — ale potrafię znaleźć.

— Dopiero będziesz szukał i dotąd o niczém niewiesz? O, niebaczny! litości godny!

— Coż takiego — powiedz mi?

— Więc o niczém niewiesz, niesłyszysz o czém całe miasto jak w bęben bije?

— Zaklinam się na Boga, na miłość twoją, że o niczém niesłyszałem i niewiem.

— Więc iesteś ślepcem i głuchym na wszystko, co cię tak blisko powinno obchodzić?

— Powtarzam, że kochając cię nic niewidzę — niesłyszę; ale na miłość Boską powiedz, co chcesz mi wykryć?

— Rzecz bardzo wiadomą — bardzo nieciekawą.

— Ach niedręcz mię dłużej! Mów; wszak to mi potrzebne.

— Czy znałeś Półkownika Korna?

— Bardzo dobrze. Byłem nawet jego przyjacielem. Biedny, wczoraj umarł....

— Czy jego charakter znajomy ci?

— Bardzo dobrze.

— Czytaj więc! to rzekłszy, wyjęła z zagorsa otwarty list i podała go Radcy.

On rzucił nań oczyma — i papier z rąk wypadł, tak okropnie zadrzały, a Baronowa z złośliwą ironiją zapytała, podejmując list:

— Czemuż nieczytasz? Tu tyle miłości, tyle nadziei na przyszłość. Alboż nieznasz tego imienia? Osoba co go nosi nic cię nieinteresuje? Jednakże posłuchaj.

I zaczęła czytać:

»Emmo! — O czém mówić z tobą? Coż ci po»wiem, kiedy tak tłumnie zlały się wszystkie myśli »do mojego serca, wszystkie uczucia złączyły się »z myślami? Ty obudziłaś w mej duszy cały świat »nieziemskich roskoszy! My będziem szczęśliwi kie»dyś, my połączymy nasze dusze — zespolimy nasze »uczucia — nasze myśli — w jedną duszę — w je»dną myśl, — a tą duszą, tą myślą będzie wieczna »miłość — wieczne niebo! Chcesz-li męki mojej »opowiedzieć ci wszystko, chcesz-li wysłuchaniem »tego uleczyć tęsknotę serca i wiarą w uczucia moje »prawdziwe jak Bóg, święte jak Bóg — wlać doń »nadzieję że ty jedna podzielasz i czujesz mą boleść! »Lecz moje nadzieje może są zwodnicze? Świat dziś »tak zepsuty, tak trudno znaleźć w niém duszę, »któraby rozumiała język serca — język niezachwia»nej prawdy. Będziesz-li zgodnie z tłumem czynić »zarzut tym świętym wyrazom serca, złożonym »z ognia i łez, z uczucia miłości i uczucia żalu; »będziesz-li bez końca chować w swej duszy wąt»pliwość: czy serce moje głosi ci prawdę? O! jeśli »i w twojej duszy niema wiary w wyrazy tobie od»danego serca, — niech usta moje na wieki będą »nieme! — niech duch mój zamrze w łonie — nie»wzniesie się w niebiosa! — niech posępny cień »mój błąka po obszarach znikomego świata! O bie»dne serce moje miotane wątpliwością! Długo-li »będziesz patrzeć obojętném okiem na moje męki — »i rozumieć żem oszalał z miłości — żem bliski »końca swego? O! śmiej się luba — śmiej! z twego

»śmiechu stworzę dla serca mego nowy świat — no»we istoty; rozkwiecę — rozognię ich myśli nowe»mi ideami; wleję do ich piersi cały płomień mych »uczuć, cały ocean mojej miłości, całą wieczność »moich nadziei, całą pokorę mej wiary, — i pro»mienną tęczą ich świeżych — nieskalanych natchnień »owiję skroń moją i złotemi marami tych natchnień »owiję się cały — zasnuję siebie od oczu świata fał»szu — świata zdrady! Zbiorę 'natenczas wszystkie »siły moje — przywołam z nieba potęgę duszy i gło»sem konania mego uderzę w twoje serce! A ty aniel»ską słodyczą ust swych oczarujesz mię znowu!«....

— On był warjatem! przerwał zniecierpliwiony Radca.

— Warjatem? powtórzyła zagryzając usta Baronowa, zwarjował z miłości; jednakże jak sądzisz o takiej miłości?

— W liście tym widzę dobrą stronę mej żony.

— Dobrą? O jakaż dla ciebie chluba! więc słuchaj dalej, ukażę ci jeden ustęp co jaśniej wyświeci wszystko; posłuchaj, proszę cię.

— Słucham.

Baronowa znowu zaczęła czytać:

»Cóż ty spisz! biedna sieroto losu! w bezładzie »łoże twoje; do niego przypełzła gadzina i wpiła »się do twego serca, i zdradliwym żądłem sączy »uczucia twoje! Cóż ty spisz niebaczna!«

— Stój! nieczytaj dalej, — zawołał stłumionym głosem Radca; tego dowodu dość mi; jutro skończy się wszystko!

— O jakże iesteś nieczułym; wszak to wyrazy szalonej miłości — takiej szczerej, takiej prawdziwej; proszę cię w imię tej miłości posłuchaj dalej, jak tu każden wyraz tchnie słodyczą, błyska łzą roskoszy....

— Wyrazy te będą piorunami zemsty! daj mi ten list — pójdę zaczynać dzieło mojego odkupienia.

— Posłuchaj mojej rady.

— Coż mi chcesz radzić?

— Nieidź. Jeszcze wcześnie.

— Dla czego — wszak mam wszystko?

— Niemasz wszystkiego.

— Nietruj do ostatka mej duszy!

— Coż myślisz począć?

— Listem tym zabiję ją!

— Listem niezabijesz jej. Ja mam skuteczniejszy środek.

— Jaki?

— Oto ten proszek.

— A Bóg?

— A zdrada? — Szlachetną włoską zemstą za nią odpłacisz. — Ona zemdleje, gdy pokażesz jej list, wtedy ocucisz ją tem lekarstwem; zaręczam o jego skutek.

— Więc daj mi go. Pójdę tymczasem dla złatwienia niektórych moich interesów; za godzinę spełni się wszystko.

— Oto masz wszystko. Jednakże radzę ci wieczorem powracać; może w objęciach żony zastałbyś drugiego kochanka.

— Dla czego rozdzierasz me serce?

— Pałam ogniem zazdrości. Nademnie nikt cię więcej niekochał.

— Żegnaj do jutra! wyrzekł ustami jadu, i obciążony okropną myślą zbrodni, wyszedł.

A iskierka litości Boskiej błysnęła i w występnym sercu; lecz te objawienie niebios było tylko głosem wołającego na puszczy — gwiazdą dla tonącego pośród ciemności!

Na niebie było czarno jak w duszy grzesznika; ani gwiazdeczki — jak nadziei w rospaczy, — tylko błyskawice przelatywały w chmurach, jak miłosierdzie Boże nad obłąkanemi, zwiastujące przyszłe zakryte przed nami życie i ów dzień straszliwej sprawiedliwości. — Biła północ na wieżach.

Radca przyszedł do swego domu — zadzwonił; lokaj otworzył drzwi. Radca zapytał go:

— Dawno spią?

— Od godziny.

— Coż robiły tak długo?

— Modliły się.

— Pani w sypialni teraz?

— Nie, w ostatnim pokoju.

— Sama?

— Z panną Elodją.

— Odejdź!

Służący wyszedł. Radca wziął świecę, zamknął za sobą drzwi od przedpokoju i poszedł na palcach do tego pokoju, gdzie była Elodja z matką. Boże! z jakąż szatańską myślą on tam dążył; lecz komu zbadane wyroki Twoje miłosierny Panie! Jakiż zbrodniarz nieprzerazi się widokiem Twego krzy-

ża; komu na ten widok nie stanie w oczach przyszłość..— Drzyjcie wiarołomcy! bo te znamie stanie przed waszemi oczyma krwawym sztandarem zagłady w godzinę skonu!!..

Radca stąpił na próg ostatniego pokoju, i oczóm jego zalśniły cudne promienie cierniowej korony i jak ognistemi grotami przenikły aż najgłębszych tajni jego myśli. Emma z Elodją, siedziały uspione na kanapie — dziecię przytuliło się do matki; biedne — już niejedną noc tak przespało, niejedną boleść matki podzieliło; bo rozumiało co się działo w jej sercu: to świadczyły dwie łezki zimne co zbrylantowały się na jagodach i błyskały jak gwiazdeczki samotne; to spowiadały usteczka, na których już niebyło śladu, jak dawniej, słodkiego anielskiego uśmiechu — widać i we śnie niewidziało radości

Pewno on obaczył te niewinne łzy i niechciał trwożyć pokoju anioła, lub te omdlałe lice Zbawcy napełniło go trwogą: bo nieśmiał w Jego obliczu rozpoczynać ohydnego czynu — i wyszedł z tamtąd poniosłszy w duszy cieżki kamień piekielnych zasług. I przybiegłszy do swego pokoju, w obłąkaniu rzucił się na łoże, aby miał szczęście męczyć się mękami potępieńców do wschodowej jutrzenki.

O biedna, słaba duszo! co dasz się uwikłać w zamysły szatana! O niedołężne — litości godne serce! kierowane zmysłowości potęgą! Gdzież znikła samodzielność nadana wam Twórcą?! Zużyty próżnością rozum, stępione głupstwem zdolnoście, wyziębione podłością uczucia, pochłoniona morzem

zepsucia wiara, — niezdołają oprzeć się zastępom ducha ciemności — przejrzéć zaćmionemi przedajną ułudą oczami! I lecą szaleni niemocą ducha, opętani ciężkim łancuchem nieczucia — lecą bez pamięci długim gościńcem cierpliwości Bożej, niewidząc, nieczując wczechmocy, która co chwila gotowa przeciąć pasmo tego doczesnego istnienia i zagrzmiéć Syonem sprawiedliwości! O Panie miłosierdzia bez granic! zbolałą duszą, słowami cierpiącego Syna Twego, pogrążony w smutku, — ja pruszynka Twego stworzenia — podnoszę grzeszne wołanie moje: przebacz nam: bo niewiemy co czyniemy!

VIII.

Czyż taka pamięć pieszczot miłośnicy?
Darmo! nieścieraj z czoła mgłę natrętną,
Niestawiaj myśli na spójrzenia warcie;
Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
Jak blask fosforu czyści się przez tarcie.
Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

Zamek Kaniow. Cz. 3.

Cóż to za ogień rozpłomienia się w piersi; jakież to blaski krążą u skroni moich?! O pokłon ci święta zwiastunko przebudzenia — nadziejo bliskiego świtania! Spływaj do serca mego — napełniaj całą duszę — wszystkie kryjówki uczuć, — rospalaj zupełną wiarą wszystkie dążenia i myśli moje; — zbliżaj mnie do celu ciernistej pielgrzymki mojej! Czy widzicie o bracia moi ten pożądany cel? Czy czujecie ku niemu dążenia wasze? Słyszeliście o nowym objawieniu dla zapamiętałych szaleńców? Słyszeliście o cudzie myślowych rozmów, — o proroczym widzeniu? Truchlejcie wiątpiący o nieśmier-

telności duszy! bo te dowody już są ostatniemi promieńmi wyświecającemi światu przedwieczne wyroki; ostatnim przestrachem tamującym bezbożny głos bluźniercóm!

Jutrzenka jeszcze niezaczęła rozrzucać po wschodzie swych szarych płomyków, i ptaszęta niebieskie niedzwoniły jeszcze porannych piosenek Bogu. Cała przyroda spała w mgły tiulowych falach. Tylko serce zbolałe daremnie tuli się do pościeli; tylko myśl stroskana ognistą pogonią niezmordowanie pędzi po całym świecie — szuka oazy dla wytchnienia; tylko oczy co dawno już postradały łzy — daremnie silą się zawrzeć omdlałe powieki: bo przeczucie, ten prorok duszy odzywa się w łonie niezmienną wyrocznią — nikomu niepojętą. I Emma, choć słodki sen jutrzenki, — niemogła spać: bo ten głos trwożliwy — rozlał się w jej sercu. Pamięcią przebiegała ona całe swoje życie: złotą młodość — czary roskoszy! — i zjawila się jej oczóm owa chwila szczęśliwa — najszczęśliwsza — jedyna w życiu, a po niej druga o, niestety! w niej niebyło już tyle szczęścia! bo w pierwszej miłość jaśniała w oczach — przenikała do duszy, — a druga dźwięczała tylko wyrazem; jednak zdawało się: o jakże był świętym ten wyraz — pełnym prawdy; — jakiem słodkim uniesieniem płonęły jej wszystkie uczucia na myśl: będziemy razem! A on klęcząc trzymał jej rękę i gorącemi ustami wyciskał pocałunki, to patrzał w jej oczy, perlące się łzami radości. Potem stanęła na tem miejscu poczwarna Baronowa z tym szatańskim spojrzeniem, z temi szatańskiemi myśla-

mi! Tysiące sztyletów przenikło serce biednej Emmy. Ocknęła się z marzenia — otworzyła oczy, — ach to on! on, tu! Jakaż radość! Wyciąga ręce — rzuca się na jego szyję — tuli się do piersi — urwane wyrazy lecą błyskawicami z ust jej: Ach luby! gdzieżeś był — ty mój!.... ty wiecznie mój!.... gdybyś wiedział — co za okropny sen miałam...

— Wiarołomna żono!!! — zagrzmiała piekielnym wyrazem pierś zdrajcy — precz odemnie! I odepchnął nieszczęsną.

Głuchy jęk podobny do skonu — wydarł się z łona Emmy — a zaniem jak strumień kryształu — tak czyste wypłynęły wyrazy: »Matko Boża! Matko Boża!« Moc niebieska była z nią: bo życie niepękło w tym ciosie. Ona jeszcze miała siłę wyrzec: mężu w czem winnam?

— Jeszcze śmiesz pytać o to! wrzasnął z wściekłością Radca, rzucając jej *ów list.*

— Coż to ma znaczyć? ostatniemi siłami zapytała Emma.

— Więc niepoznajesz ręki, która kreśliła te słowa? niewidzisz imienia twego, nikczemna zwodnico?!

— Zdradą! więc zdradą — przyszedłeś mię zabić, tak nikczemnie ułożoną przez twoją kochankę zdradą! Niebiosa ukażą cię! Matko Boża ratuj mię!...

Ścisnęło się jej serce — pociemniało w oczach — i padła bez zmysłów na posadzkę, — a w tym samym momencie przebudziła się Elodja — spojrzała na matkę i ze łkaniem rzuciła się na twarz jej.

— Mamo luba! nieumieraj jeszcze.... spójrzyj na twoją Elodję!.... choć ostatni raz spójrzyj!...

Zbiegli się domownicy; zaczęli ją cucić, — a Radca stał tylko zdaleka z przygotowanym napojem i czarną myślą radził się piekła, czy miał go podać do ust omdlałej. — Ach jak wiele cudów Bożych w każdej chwili! Głos sumienia, ten anioł stróż na tym padole, przemówił w jego duszy i tym słodkim głosem przytłumił piekielną władzę, i obudził w oziębłym sercu żal nadludzki: ona tyle lat kochała mię tak czule, tak wiernie — pomyślał sobie, ona tyle poświęcała się dla mnie! Wiarołomstwo niemogło powstać w takiej duszy! — On spojrzał w szklankę, i druga myśl zabójcza błyskawicą mignęła w jego głowie:

— Nie! zawołał z boleśną ironiją, nie dla ciebie luba żono ta roskoszna czara; do innej ona należy, z inną godniejszą od ciebie przystoi mi podzielić się tą godową słodyczą!... Żegnaj mię — może na wieki! Przed sądem niepamiętaj win moich!...

Emma otworzyła oczy, i głosem takim słodkim, tak przenikającym serce — przemówiła cicho:

— Aniele, nieopuszczaj mię... Jam wiele winna.... przebacz mi....

O jakaż obecna dusza niezapłakałaby na takie wyznanie; a cóż dopiero temu, kto sam czuje brzemię występnych myśli; cóż temu, w czyich oczach stoi okropny czyn własnej zdrady? Och! temu mało obrazu wykonanej zbrodni — mało łez skruszonego serca — mało wspomnienia na przyszłość, — żeby zatrzeć w pamięci krwawe widmo występku — żeby

wygasić w sercu palący żal niewczesny: bo głos niewinny ozwie się o pomstę i towarzyszyć mu będzie po tamtę stronę grobu.

Radca spojrzał na Emmę i w jej oku przeczytał wyraz bolesnego wyrzutu — i serce jego na te spojrzenie zadrżało okropnie. On padł na kanapę, zakrył rękami twarz i gorzko zapłakał.

Widzieliście wy kiedy mili bracia moi, jak ślicznie błyskają kropelki szronu, — jak rozpływają się zupełnie, gdy wzniesie się Boże słońce? Tak rozpływa się w żałości serce co kiedyś kochało: gdy promień dobroci Bożej do niego zajrzy i zapamiętałość obróci w łzy.

Radca płakał długo. Elodja klęczała przed cudownym obrazem i niemą modlitwą błagała Zbawiciela o powrócenie matce zdrowia; nakoniec zbliżywszy się jakby natchnioną myślą do ojca, — wymówiła z uniesieniem bolesnym, wskazując na matkę:

— Patrz luby papo! ona umiera!

— Ona nieumrze! zawołał z rospaczą Radca, rzucając się na omdlałą Emmę, ja pierwej umrę! i ściskając obie jej ręce, mówił dalej: jedyna pociecho moja! spojrzyj na męża twego, spojrzyj na twego zabójcę. On błaga cię o przebaczenie — błaga w Imię Przedwiecznego!

Jakaż niemoc — jaka ciemność, — nieustąpi — nierospryśnie na te straszliwe Imię. Czyje serce przenikłe boleścią — nierozjaśni się jak błękitne niebo po okropnej burzy, — na te pełne radośnej — niezmiennej nadziei wezwanie? — Tak! Lecz gdzie śmierć odbyła poselstwo Wszechmocy, czyją skroń

owiła marami nietego świata — o temu niech nierozkwita nadzieja ziemskiej uludy — niech nierozpala popiołów pogaszonych łzami: bo temu boleśniejsze skonanie niż gdyby jego świętość była wiadomą jednemu tylko Bogu, — daleko boleśniejsze: bo pamięć późnego rozkwitu serdecznych tajni towarzyszyć mu będzie, aż Cheruby otworzą xięgę wyroków.

Emma znowu otworzyła oczy i życie zabłysło znowu jakimś nęcącym blaskiem — ona słyszała ostatnie wyrazy męża, — i on i wszyscy ludzie — zdawały się bydź takiemi niewinnemi — takiemi dobremi.

— Najmilszy Leonie! ty mię kochasz? Dziecię moje jedyne ty mię kochasz? mówiła ona z radośnemi łzami cisnąc do serca męża i córkę, ja niechcę umierać. Bóg tyle dobry, on mię nierozłączy z wami!....

Błoga myśl rozjaśniała w sercu Radcy: ona żyć będzie! lecz niespokojność z nieprzybycia doktora wynikająca, dochodziła do najwyższego stopnia.

Od godziny prawie wszystkich sług rozesłano i żaden dotąd niepowracał. Poleciwszy Elodij i dwóm służącym chorą, on wybiegł na ulicę, w celu wzięcia dorożki i udania się za doktorem. Dopiero rozedniało; żadnej dorożki niewidać było, — pobiegł więc pieszo.

Już mijał ulicę Ś. Cyrylla, gdy jakiś prosty człowiek, pewnie czyjś służący — nagle zatrzymał go za ramię, mówiąc:

— Mości Panie! czy nieszukasz doktora?

Zdziwiony Radca zaledwie się obrócił, chcąc zapytać o przyczynę takiego wniosku. — w tem otwiera się okno domu, pod którym on stał i pokazuje się w niem Baronowa i mówi:

— Na miłość twoją zaklinam, zajdź na chwilę — mam ci odkryć ważną rzecz.

Radca stanął jak wryty. Moc ducha opuściła go, on zaledwie zdobył się powiedzieć:

— Olgo, chwilki niemam do stracenia.

Ale Baronowa, w rannym negliżu wybiegła na ulicę, porwała go za obie ręce i już byli w jej pokoju.

— Dokąd żeś biegł pieszo — tak rano, zapytała patrząc mu w oczy — po chwili.

— Biedna żona moja chora — szedłem za doktorem. — Miej nad nią litość, niezatrzymuj mię.

— Więc moje lekarstwo poskutkowało dobrze, prawda, ty czynisz to dla oka tylko?

— Puść mię! krzyknął z całej siły, wydzierając się z rąk jej.

— Pocóż tak spieszysz, wszak ona już umarła dotąd.

— Puść mię przeklęta! Ona żyć będzie!

— Tak-li przemawiasz do przedmiotu twojej miłości wiarołomny człowieku! — Tyś mi przysięgał.

— Tyś mię zwiodła poczwaro! Puść mię!

Te wyrazy ozwały się w jej duszy piekielnym echem i pot zimny wystąpił na jej twarzy.

— Więc mię już niekochasz, wyrzekła zmienionym głosem, kłamiąc oczami miłość, to żądasz mojej śmierci?

— Puść mię! powtórzył szalenie Radca, odpychając ją.

— Puszczę — powiedz mi tylko jedno słowo.

— Jakie?

— Zaco żądasz mej śmierci — wszak kochałam cię tak bardzo!

— Zabiłaś mą duszę! — precz odemnie! wrzasnął straszliwie i odtrącił ją.

Baronowa padła na posadzkę i uchwyciwszy go za nogi całowała je ze łzami, mówiąc:

— Leonie! czyż miłość moją nazywasz zbrodnią! i za miłość płacisz mi śmiercią!

— Powrócę do ciebie, pozwól mi tylko na moment odejść.

— Weź mię za żonę, albo mię tu zabij! Patrz, gromy niebios ukarzą cię!

— I za śmierć Emmy czeka mię piekło!

— Ona żyje, ona żyć będzie; a ja tu skonam; zostań ze mną jeden moment!

— Ona żyje?! błagam cię więc, pozwól mi odwidzieć ją — za godzinę powrócę do ciebie.

— Powiedz mi, co masz w tem że mię zwodzisz, wszak mię zupełnie nienawidzisz?

Niecierpliwość Radcy zmieszana z pogardą — doszły do ostatniego stopnia. On napróżno różnemi sposobami silił wywikłać swe nogi z objęć Baronowej. Niespokojność: co się dzieje z Emmą, konwulsijnie wstrząsała jego nerwy i zapalała gniewem zbolałe serce. Nareszcie religijna myśl przyszła mu do głowy. On nachylił się i podniósł Baronowę, mówiąc:

— Jakże nieokazać przysługi umierającej; biegłem nie za doktorem, lecz za xiędzem dla Emmy. Ona mię o to z taką modlitwą, z takim uniesieniem błagała. Pozwól droga Olgo uczynić jej tę ostatnią przysługę.

Ona była pewną że myśl jej została spełnioną, i że boleść w sercu Radcy obudziła się dopiero po wykonaniu zbrodni — jak to bywa z każdym występcą; lecz miłosierny Bóg — okazał litość nad nim i dał czas omyć łzami splamioną duszę.

— Idź więc, rzekła całując w obłąkaniu ręce jego; lecz pamiętaj że zemsta zdradzonej kobiety ścigać cię będzie wszędzie aż do śmierci, i że zemsta taka równa mękom niedzielonej miłości!

Radca powrócił do domu w trzy godziny po opuszczeniu Elodij; zastał kilku doktorów, którzy już odbyli konsylium — i siedzieli w milczeniu poglądając na siebie; gdy wszedł Radca, podali mu tylko obojętnie rękę. On spojrzał na żonę, później na nich i w sercu jego ozwała się wina zabójstwa, i w oczach jego stanął straszny sąd; zatrząsła się pod niem ziemia, a nad nim otwarło się niebo. — Przestrach ogarnął jego duszę. Oczy się zawarły — zadrzał cały i padł na ziemię.

Obecni doktorowie porwali się z miejsc swoich. Jeden z nich schwycił stojącą na oknie szklankę i podał do ust Radcy.

— To omdlenie — zwyczajne omdlenie, powtarzał wychylając do dna szklankę, woda ocuci go.

— Nieocuci go niczyja moc, chyba trąba Archanioła — mówili dwaj drudzy doktorowie, opatrując jego pulsa.

— Może kazać mu krew puścić? zapytał pierwszy.

— Alboż niewidzisz jak mu zsiniały usta, i nieczujesz że ustały wszystkie weny — przekonywali temi słowy szanowni koledzy — i mówili dalej:

— On umarł z apoplexij, pochodzącej z okropnego bicia serca — a bicie serca pochodziło z żalu, a żal pochodził z utraty żony...

— Alboż ona umarła, przerwał jeden z nich, biorąc za rękę Emmę — patrzcie to tylko maleńkie zapalenie.

— A ja cię ręczę że jutro umrze — wyrzekł drugi.

— O godzinie piątej — trzymam zakład — dodał ostatni z tych nieczułych ludzi.

A biedna Elodja — jeszcze pełna niebieskiej nadziei, unosiła w modlitwie duszę przed tron Pana miłosierdzia; jeszcze z jej oczu płynęły błagalne łzy, potém jakby natchniona potęgą świętego ducha — powstała — rzuciła okiem dokoła — o czemuż nie pękło jej serce — czemu nieumarło w niej życie?

O wiele! — więcej — niżli wyobraźnia wystawić może, — heroiczna dusza wynieść iest zdolną, i jakby zbytkiem nieszczęścia pyszna, — patrzy zimnym okiem na wszystko — patrzy z tryumfem pokonania tego, na wspomnienie czego struchleje każda

ziemska istota, — na doświadczenie czego skona każda ziemska istota!

W heroicznej duszy płomienieją trzy prześliczne gwiazdy, spojone własnemi promieńmi, oświecającemi całe jej niebo, karmiącemi wszystkie jej uczucia. Te gwiazdy mają różne własnoście, różne prawa nadane im Twórcą: jedna pali się ogniem przelanym z przedwiecznego ognia, wielkiego jak cały świat z niebem i ziemią, i palić się będzie wiecznie do końca i po końcu świata; bo gdy wszystko z prochu obróci się w proch — ogień ten przeleje się w piersi Serafinów, i promienie jego odbiją się w Syońskich hymnach.

Druga migoci brylantowym światłem, jak krople rosy przy wschodzie wiosennego słońca, jak pruszynki śniegowe w noc mroźną — i tak trwała jak te połyski; jednak gdy przejrzy do zbolałego serca, do upadłej duchem piersi — wszystkie dolegliwości ziemskie ustają i duch znowu szybuje w szafirowych krainach podniebia.

Ostatnia wzięła początek w sercu samego Boga i strzeliła słodkim promieniem do każdej niewinnej piersi, i gore w niej płomienistym blaskiem — gore w oku rajską słodyczą, gore w licach anielskim urokiem, — przenika — zniewala — podbija czułe każde serce i uczy ludzi bydź dobremi — kochać Boga!....

Gdy pierwsza z tych gwiazd pogaśnie choćby cząstką swego promienia pod lodem wystudzonej piersi, — pozostałe nie są w stanie oświecić nieba duszy i w świecie jej ducha nastaje wieczna cie-

mność. Gdy wolą wszechmocy pogasną dwie ostatnie, — ogień pierwszej rozżarzy drugą — i spoją się w jedno, i rozpłomienią moc ducha; a temu kto nosi ten ogień, będzie widno na drodze nadgrody — i będzie widno tam, gdzie źródło tego ognia, tam, dokąd powróci duch jego, by żył na wieki!...

O szczęśliwy! w czyjej duszy świecą te wszystkie gwiazdy. Szczęśliwy! bo jego teraźniejszość — jego zasługa na zbawienie, — przeleje się z życiem do jego przyszłości — jego wieczności! Lecz och! biada temu, w czyjem niebie zepsuł się organ nastrojony tak dzwięcznie jego Twórcą! — Czyje oczy oślepły i niewidzą prawdy; czyje uszy ogłuchły — i niesłyszą prawdy; — czyje serce oziębło — i nieczuje prawdy; kto zostawszy pochwyconym niemocą ducha w dwa przeciwne wiatry, krąży szalonym wichrem zepsutych namiętności — i żyje w ideach natchnionych zwolennikami piekła, — o! tego teraźniejszość także zasłuży na wieczność — a wiecznością takich; płacz i zgrzytanie zębów!...

IX.

Jakże ta chwila wielka, straszliwa,
Ktoż ją przetrzyma bez uczucia wiary?
Czyjaż tu krew nieprzepływa
Przez żary, lody i żary?
A ty na te gromów łomy,
Na te nieba w błyskawicach. —
Zimną spokojność trzymasz w rzenicach,
Chociaż i tobie grozi skon widomy?
Kto zrósł w serca nawalnicach,
Temu niestraszne te gromy!

S. G.

Smutna myśl: »potrzeba umrzeć!« O Boże! tak prędko!? — Zaledwie idee wszechmocy osnuły wątek istnienia, zaledwie oczy obiegły obszary świata, zaledwie uczucia zagrają anielską nótą, i serce uczuje życie — takie słodkie — takie święte — takie niewinne — a biedny rozum zaledwie zastanowi się nad celem tego istnienia — potrzeba umierać. — To okropnie! Czyjeż serce niezadrzało — czyja twarz niezbladła na te wspomnienie. Ach jak boleśnie umierać! Co!? — umierać! — umierać człowieko-

wi — najwyższemu dziełu Nieśmiertelnego! — Alboż płomień składający te wysokie istnienie — wygaśnie kiedy? — i niebieskie uczucia z łona Przedwiecznego — ostygną kiedy? — i także ulegną powszechnemu prawu zniszczenia? a nikczemna trumna zamknie w sobie całą potęgę nieśmiertelnego ducha? — i grobowa cegła zasklepi myśli? — i głowa, ten ocean dum, zmieniony w zbutwiałą czaszkę — stanie się ich grobem? — A świat nieusłyszy ich objawu — nieobaczy ich gmachów? Smutno, och smutno umierać: bo umierać raz tylko i każdemu umierać!

Tak myślicie i wy, którzy życie ziemskie zbogaciliście cierpieniami — i ten cierniowy gościniec poznania utorowaliście krwią i łzami? — i wy coście od zaczątku pielgrzymki przejrzeli przepaście, i niechcąc gonić za błędnemi ogniami — posłali myśli wasze w niebiosa? — i wy co w manowcach tej drogi — ocknieni z obłędu, ujrzeliście opiekuńczą gwiazdę — uczuliście w sercach wiekuistą wszechmoc i bolejecie o dawnych szałach? — i wy, o bracia moi! rozbitki losów — chorzy duszą — tęskne cienie, karmiące się radośnem połyskiem gwiazd? — Czy i wam zamiera serce z żalu na wspomnienie o śmierci — czy i wy drzycie ze strachu na myśl o życiu wiecznem? — Alboż niewypłynęły już dawno wszystkie łzy wasze? — alboż jeszcze cierpieliście mało, i niewidzicie kresu waszego dążenia? — Ocućcie teraz duchy wasze, znękane ciężkim wytrwaniem! — Napełnijcie serca pociechą prędkiego przebudzenia w lepszym świecie, — a w chwili, kiedy

strząsać będziecie prochy podróży waszej u drzwi świątyni wszechświata, ostatnią łezką niebieskiego uniesienia przekonajcie zapamiętalców o tryumfie wstąpienia w bramy nadgrody wiekuistej. Tymczasem ze skruszonym sercem idźcie dalej — droga wiadoma; bo widzicie jej cel; gorąca wiara, że te życie iest snem, a śmierć przebudzeniem — niech zagrzewa do wytrwania w tej niezbędnej każdemu pielgrzymce.

Była dziesiąta zrana. W domie Radcy od kilku godzin niezwykły ruch. Na ulicy i dziedzińcu, przed domem, mnóstwo karet. — Jedni przyjeżdżają, drudzy odjeżdżają — at — dla zwyczaju — a wszyscy czegoś bardzo nieweseli, u niektórych nawet zbiera się na płacz, a u niektórych łzy gradem się tocą — at dla zwyczaju także. Cóż to iest?

W pierwszej sali leżą zwłoki Radcy w urzędowym mundurze, a przy nim połyskują znaki ziemskich jego zasług, nadgrody, których niezabierze z sobą na świadectwo dla czego żył. A zasługi duszy, już dawno czytają anieli Panu. U węzgłowia gorą świéce, a na stronie xiądz w czerni czyta cicho żałobne modlitwy na pociechę duszy — i czegoś tak smutno robi się, słuchając i patrząc że to z każdym będzie.

W drugim pokoju siedzą na sofach towarzysze nieboszczyka; jego zasłużeni koledzy — bracia: co przyszli oddać ostatnią wizytę swemu koledze — bratu. Siedzą sobie i dumają że im przyjdzie prędko przenieść się na drugą stronę: bo cóż tych kilka

lat co może pozostało do przeżycia — przeminą jak jeden dzień — jak jeden moment.

W przysionku klęczy jakiś dziad ślepy i przy-nim chłopczyk, co go wodzi pokąd nieumrze; klęczy i niemodli się, tylko swemi ślepemi oczami rzeką łzy leje — pewnie ma kogo żałować. Oj ma czego płakać, i nie za groszem tu przyszedł: bo płakać od niechcenia — niemożna staremu!

Gdzież familija Radcy? gdzie Elodja?

Ona w ostatnim pokoju stoi przy śmiertelnym łożu matki i patrzy w jej oczy — ach jakimże cudownym ogniem płoną, ile w nich życia! Niestety! nieziemskiego: bo promień światłości już spłynął do jej duszy, by oświecić drogę do anielskich chorów, by osłodzić smutną myśl rozstania — smutną — bardzo smutną, ach, bo komuż niepęka serce z żalu, kto zostawia dziécię sierotę — same jedne pośród ogromnego świata.

Cóż znaczy ta zimna obojętność Elodij na takie okropne obrazy? Ona niema — nieruchoma — nieczuła na wszystko; ona niepłacze strat tylu — cóż z nią? Wiele — o jak wiele cudów Bożych w każdej dobie. Jest łaska nieba co zstępuje do serca w chwilę rospaczy — i uzbraja go potęgą silniejszą nad wszystkie ciosy. Jest heroizm duszy, pochodzący od ducha świętego, przy którym niepadnie wiara w miłosierdzie Przedwiecznego. I Elodja była pełną tych natchnień — i pod skrzydłem anioła swego — zapomniała o wszystkiem: co ją otaczało, co ją czekało: bo wszystko zespoliło się w jakieś nadziemskie omamienie — w jakąś myśl słodką, że

jej życie połączone z życiem matki, — powzięte z życia matki, — z nią razem przeleje się do wieczności.

O jak mało takich, coby mogli znieść więcej, niżli człowiekowi znieść można — niżli mu iest przeznaczoném znosić!

W tymże pokoju niedaleko Elodij stoją Edmónd z Ernestem, co przyszli dzielić jej boleść; ale ktoż ulży takiej boleści, czyje słowo wytłumaczy żal, od którego pierś pęka i duch życia zamiera w duszy. O, oni rozumieli ten stan i nieśmieli ziemskim wyrazem rozrywać pasma niebieskiej ułudy — patrzali tylko czy biedne jej serce przeniesie ten cios okropny.

Emma wzniosła oczy, poruszyła ustami i imię Elodij zadrzało w powietrzu, a we wzroku przejaśniał jakiś wdzięk nadziemski, jakby niém chciała wyrazić miłość całego życia — uczucia całej duszy. Twarz jej okryła się anielską słodyczą i urok natchnienia otęczył jej skronie — jakby ujrzała coś zachwycającego — coś nadziemskiego. A biedna Elodja niepojęła tych znaków.

— Co, co droga mamo, lepiej ci? zapytała z radośnemi łzami, całując jej nogi, — nieumrzesz jeszcze — nieosierocisz jedynej córki?

— O lepiej — daleko lepiej — wymówiła Emma, a on? — jak się ma on? — nieumarł jeszcze?

Krwią zaszły serca obecnych na te pytanie; usta Elodij zsiniały; ona siliła się na odpowiedź, niestety! zadrzały usta i żadnego niewydały słowa;

lecz czyja dusza przejrzała aż do podnóża Syońskiego tronu — temu widome myśli ziemskie.

— Ach! on już umarł — nieskrywajcie tego przedemną, — wymówiła Emma z przeciągłém — bolesném westchnieniem, — i przy tych wyrazach lica jej zapaliły się rumieńcém, a oczy błysnęły nienaturalnym ogniem. Cóż się stanie z tobą dziécię moje lube? wyrzekła po chwili i spojrzała w górę, jakby wyroki Przedwiecznego chciała przeczytać.

— Ja umrę z tobą — ja niezostanę bez ciebie, zawołała ze łkaniem Elodja, załamując w rospaczy ręce.

— Obyś szczęśliwszą była od twojej matki — rzekła Emma, wyciągając dłonie: nachyl twą głowę, niech błogosławieństwo czułej matki utwierdzi cię w wytrwaniu ziemskich katuszy.

Z piersi Elodij jęknęło głuche westchnienie, podobne do rozstania z życiem — westchnienie takie, na które skamienieje ręka mordercy, na które anieli otwierają niebiosa — na które znikną na wieki światowe ponęty — na które jednak niepowróci życie — nierozświetli się nadzieja. — Ach weź mię z mamą miłosierny Boże! zawołała w zapomnieniu że Bóg wie co czyni, zawołała i padła na twarz matki, — i w duszy jej była myśl — Boże w takim stanie ona mogła jeszcze myślić!? Tak ona miała bluźnierczą myśl, myśl rospaczy: że łzami powróci życie matki, że Bóg ma litość i że nikogo jeszcze niekarał tak okropnie — a ona była niewinną — zacożby ją tak karał?

O biedna istoto! — niewidzialny pyłku stworzenia, śmiesz powstawać przeciw tego, na czyje skinienie powstały z niczego miliony światów, na czyje skinienie miliony światów obrócą się w nicość. O jak wielka, bez granic litość Twoja Wszechmocny Panie!

Dusza Emmy uczuła swoje rozwikłanie z ziemskich więzów — i niezatrwożyło się serce na te wezwanie, widać cierpiało niemało.

— Przywołajcie mi wszystkich — przemówiła z determinacyą — przywołajcie kapłana, niech się modli, bo nadchodzi moja godzina.

Zbiegli się co byli w domu, przyszedł i kapłan z pierwszego pokoju i zaczął czytać akty pociechy — a Emma żegnała siebie, to Elodję, i mówiła tak łagodnie, tak boleśnie, tak słodko: bądź zdrowa luba córko; bądźcie zdrowi kochani przyjaciele moi — przebaczcie ziemskie winy grzesznicy. Lecz Elodja już niewidziała tego przeżegnania — niesłyszała tego: bądź zdrowa, ona już nieżyła zmysłami, ach biada jej, o czemuż tylko zmysłami?! Wszystkim zbierali się łzy: bo któż niezapłacze przy takim pożegnaniu. Elodja niepłakała nawet — nieszczęsny komu niestanie łez! Emma zamknęła oczy, po chwili znowu spojrzała dokoła, spojrzała żałośnie — smutno jak ostatni promyk słońca przed nadchodzącą burzą — i wzrok zawisł na łzach Edmónda, a w ustach zmartwychwstała mowa:

— Twemu szlachetnemu sercu poruczam Elodję! Te słowa były natchnieniem z nieba — były prawdą duszy: bo w godzinę śmierci.

— O matko droga! zawołał z boleścią Edmónd, czemu porzucasz nas! Boże! dla czego dożyłem tej okropnej chwili, — pochwycił rękę Elodij — zajrzał w jej oczy — były obłąkane.

— Czy rozumiesz — rzekł do niej, wskazując na matkę, pojęłaś jej woli?

Zaiskrzyły się oczy i na jej twarz śmiertelną rozlał się szkarłat.

— Co? co? luby Edmóndzie! To niebyło urojeniem? Matka pozwoliła mi kochać cię? O czemuż przestałam żyć — czemu tak wcześnie umieram!

— Jezus — Marya — Józef! Te święte imiona wymówiły w tym momencie usta Emmy, i oczy rzuciły pożegnalne promienie na Elodję — Edmónda, na wszystkich obecnych — i zamknęły się na wieki.

— Czy rozumiesz te hasła? krzyknęła z szaleństwem Elodja, pojąłeś ich znaczenie? — To hasła mego skonania! — i rzuciła się na zwłoki matki. Zapóźno! przedział bez granic rozdzielił ich na długo — na długo, bo każda minuta konania — każda minuta tęsknoty równa się wiekóm oczekiwania. Błogosławiony, kto wytrwa w pokorze ten dopust — błogosławiony, czyje usta nieszemrzą na wyroki Boże, czyja dusza oczekuje cierpliwie swego powrotu na łono Stwórcy!

Trzeciego dnia żałośnie rozlegały się dzwony wszystkich kościołów Bożych; a ulicą świętego Cyrylla postępował smutnym krokiem żałobny orszak. Na czele godła wiary Chrystusowej; za niemi apostołowie tej wiary, a tam pośród tłumu dwie czarne

trumny w cieni sztandarów zbawienia. Migocą pochodnie — xięża spiewają na wieczną pamięć uspionym w Panu; dobrzy ludzie szepczą anioł Pański. A cóż to za istota bledsza od śmierci, postępuje omdlałym krokiem za ostatnią trumną; cóż to za ludzie co ciągną ją po tych smutnych śladach? Ach to nieszczęsna Elodja towarzyszy rodzicóm po tamtę stronę grobu; to szlachetni młodzieńcy, co wykonywają jej ostatnie chęci.

I ona ma siłę jeszcze zdążyć za tym orszakiem, ma siłę przenieść ten widok?! Czemuż niepozostała w domu — czemu nie mdleje z boleści? — bo to nie ona, to cień jej, biedna jej powłoka snuje się za cieniem rodziców, a ona już dawno nie tu.

Stanęli wszyscy na górze przy pięciu krzyżach, zdjęli z karawanów trumny i postawili na ziemi. Jeden z xięży mówił o cnotach nieboszczyków — o ich dobrych uczynkach, o wzajemnej miłości.... On mówił — a ludzie, jedni wierzyli temu, drudzy kiwali głową; zwyczajnie ludzi — ale nikt z nich niewiedział tego co wie Bóg — jeden Bóg, co wszystko widzi z niebios!

Xiądz skończył mowę — i zaspiewali taką żałośną piosenkę pogrzebową, że każdemu zrobiło się jeszcze smutniej — jeszcze boleśniej. Cóż się działo w sercu Elodij — gdy otworzyli trumny na ostatnie pożegnanie? — Widzieliście wy kiedy mili bracia moi, rospacz sieroty — płacz sieroty, kiedy na zawsze żegna się z rodzicami — na zawsze bez nadziei widzenia się z niemi tu na ziemi? Jeśliście widzieli i macie serca — niebędę martwił was bo-

leśną nótą — jeśli nie, — o! bodajbyście nigdy niewidzieli. Jednakże, gdy usłyszycie jęk żałobny, — niezatykajcie uszu waszych — otworzcie serca i bieżcie na ratunek sieroty! otworzcie serca jeśli macie serca! a ratunek takim, niewiele was będzie kosztował — jeśli macie serca: bo nad serce — coż droższego nad serce?!

Wydarli z objęć nieszczęsnej — najdroższe szczątki lubej matki — okrutni! niedali się nacieszyć córce jej pieszczotami, nacałować się tak na długo bardzo, napatrzyć się na twarz ukochaną, — wydarli i zanieśli do grobu; lecz ten widok, ta twarz niespełznie w jej oczach, niezasnuje się latami — niezaćmi się światem!

Przez pół godziny już nikogo oprócz Elodij z Edmóndem i Ernestem, i ślepego dziada z lutnią i przewodnikiem, niebyło na tém miejscu, bo im nietak łatwo ztąd odejść, i gdzieżby poszli, kiedy wszystko ich tu! — a reszta? — owi przyjaciele domowi — koledzy, bracia? powrócili do domów i już im niebyło smutno, i każden dobrze jadł, dobrze spał, i robił swoje — i będzie robił — aż znowu pośród nich nowa ofiara na chwilę zatrwoży duszę i przypomni że to każdego czeka!

Na zajutrz ludzie mówili dużo o wczorajszym pogrzebie. Po rękach biegał ów list, co pozostał na stoliku w domie Radcy. — Byli tacy co wiedzieli wszystko, i tłumaczyli drugim co o tém niewiedzieli: że ten list był pisanym do siostry Baronowej, która także miała imie Emmy i która od pół roku umarła — podobno z łaski przeklętej siostry. Taka

to prawda na Bożym świecie! Tegoż samego dnia przychodzili opisywać dóm i ruchomości nieboszczyka Radcy za dług należny Baronowej: bo rewers na 50 tysięcy rubli był formalnym. Jaki to był dług — wiedzieli ludzie — wiedział Bóg! ale ludzie zapomnieli bronić sieroty! Bóg ją obroni! Bóg ją pocieszy!

O ludzie! ludzie wyrodni! którym tak łatwo, tak lekko wyniszczyć dary niebios wlane do serc waszych, przy pierwszym spojrzeniu na świat — przy pierwszym pojęciu istnienia — przy pierwszym uczuciu istnienia! którym serce obróciło się w zimny kamień, a dusza stała się siedliskiem szatańskich natchnień! którzy brniecie w zaślepieniu dalej i dalej przez morze występków — i niewidzicie miecza zemsty nad waszemi głowy; — czy nigdy niemyślicie umierać, i sądzicie że niéma Boga? — niéma wieczności — niéma kary za zbrodnie? O śmiertelni! biedne atomy w okamgnieniu tysiącami powstające i niknące w bezgranicznych obszarach wszechświata! Żal mi was! Ach! serce rozpływa się w żalu na myśl że poginiecie wiecznie! Ach dusza tonie we łzach na myśl że to tak niechybne jak śmierć — jak zgryzota sumienia po zbrodni!

Jeśli komu z was mili bracia moi, zasępi się dusza wątpliwością, i w chwili zapamiętałości natchnieniem złego ducha, osnuje się bluźniercza idea, że tu wszystkiemu koniec, — wspomnijcie na tyle cudów w naszych czasach objawionych — głoszonych publicznie całemu światu. Jeśli niedowiodło się wam oglądać tych wyraźnych objawów Wszech-

mocy, zapytajcie tych co widzieli; zapytajcie o krwawym krzyżu Zbawiciela, co się ukazał na niebiosach i przeniknął strachem bezbożnych zapamiętalców; przeczytajcie o tym niesłychanym dotąd cudzie: bo dużo o niém pisano. To nie uluda, nie sztuka szalbiercza: bo tylko na ziemi ziemski rozum może to stworzyć, a na niebiosach tylko Bóg Wszechmocny, tylko litość Jego — dla przypomnienia opętanym, że widzi ich czyny i że długo cierpliwy. Ach! uwierzcie temu: bo cóż mam w tém, że wam te niezachwiane prawdy wieszczę? cóż mam w tém, oprócz szczerej chęci, serdecznej chęci, — przycisnąć was ognistym uściskiem mej wiary — napoić was słodkim nektarem moich nadziei — ucałować was anielskim pocałunkiem mojej miłości; wskrzesić i rozpłomienić w sercach waszych myśl dążenia do wiecznej nadgrody, myśl czynu — nie snu! myśl pokuty za przeszłe szaleństwa! O zalejcie się łzami za przeszłe szaleństwa — gorzkiemi łzami żalu — i płaczcie, płaczcie długo, aż powstanie z tych łez i wkorzeni się głęboko w sercach waszych nowa święta, czysta idea wiary — ta idea: że te godło naszego odkupienia — ten krzyż oblany krwią Zbawcy świata, za grzechy świata, przypominający się dziś światu, — w godzinę skonu stanie każdemu: świaтłą pochodnią blizkiego celu radości, lub krwawym sztandarem straconej na wieki nadziei! Ach jaka męka umierać bez nadziei! umrzeć — moment — godzina! ach jakaż męka żyć bez nadziei wieki — wieki bez końca! Pomyślcie! ach czemuż niechcecie o tém pomyśleć rodzeni bracia moi w Chrystusie?

Ktož z was niekochał na ziemi? Pomyślcie: jak lekko umierać z nadzieją, że tam zespolimy się znowu, zespolimy się i nierozłączymy się już nigdy!

Ach! jak trudno wyrobić w sercach waszych tę prawdę przedwieczną: że o każden moment niemożemy bydź pewni że dziś może ostatni raz zachwycamy się pięknością tego świata, ostatni raz dziwimy się tym niepojętym cudom? Czemuż tak ciężko oswoić się wam z tą myślą? Wszak codziennie widzicie własnemi oczyma jasne dowody, któremi usiłuje was przekonywać, wszak na śmierć niema widomego kresu? Och i ja może już ostatni raz przemawiam do was najmilsi — może już bardzo prędko — pożegnam was tym czasem, pożegnam was ze łzami żalu, bo może na długo rozstawać się będę; lecz je zamienią — zatłumią łzy radości — łzy powitania najdroższych mojemu sercu — łzy anielskiego uniesienia: bo tam czekają mię: droga matka — czuła matka — mało takich matek na ziemi — i ktoś jeszcze droższy — jeszcze czulszy — ach! takich już niema na ziemi.

X.

Niech mi świat odtąd złośliwie życzy,
On jak sen z mych oczu zginął,
A raj najczystszych — świetych słodyczy,
W moim się sercu rozwinął.
St. Niep. Chr. X. Chołoniewski.

Najmilsi bracia! których się świat zaparł, w których duszy rospacz swój tron założyła, — skupcie się przy piersi mojej. Będę wam spiewał cudną piosenkę dobroci Bożej. Nakłońcie ucha do serca mego, — uderzę całym jego organem i zagram czułą symfonyę litości niebieskiej. Przytulcie do łona mego zbolałe westchnieniami wasze łona: bo w niem gore pożar natchnionych uczuć, uczuć zdolnych was ogrzać, i uśpić swoją melodyą — i w tym śnie czarownym unieść tam, gdzie kwitną palmy waszych zasług, — gdzie wyglądają was, — dokąd tęsknicie tak bardzo! — Do mnie! do mnie wszyscy, którym tak trudno wyżebrać litośne spojrzenie u ludzi, którzy nikogo niemacie na ziemi, coby was pocie-

szył, — ja wam oddam wszystko moje! wyspiewam wam duszę, rozdzielę wam serce! Dziś nastroiłem arfę moją najtkliwszemi myślami: by osłodzić niedolę waszą. Nakłońcie mi ucha — otworzcie mi serca! ona już niewiele wyda akkordów! Oby z jej dźwiękiem spłynęła w te biedne serca słodka pociecha współuczucia! oby w oczach waszych zaświtała — już dawno pogasła gwiazda nadziei. Och gdybym miał moc rozdmuchać w duszach waszych choć jedną drobną iskierkę przekonania, gdybym wywołał z otchłani smutków choć jedną maleńką łezkę, — o jakże byłbym szczęśliwy! Tą jedną iskierką rozpaliłbym upadłego ducha w sercach waszych, upewniłbym — pokazałbym, że ta nędza, ta światowa pogarda, są najczystszemi perłami co zdobić będą diademy wasze. Tą jedną łezką napoiłbym spragnione uczucia wasze, orzeźwiłbym uwiędłą wyobraźnią, obudziłbym bicie serca — chęci serca, — i całego siebie oddałbym wam! Ach! gdybym miał zdolność miłość moją przelać w wyrazy, — prysnęłyby lody serc nieczułego świata, zapłonęłaby uczuciem litości najzimniejsza pierś! Odsłoniłbym oczóm roskoszy ziemskich, drugą większą połowę tego świata, której nigdy niewidzieli pośród połysków zwodniczych, otworzyłbym uszy zagłuszone doczesną harmoniją biesiad, — i usłyszałyby żałobną muzykę przekleństw. O gdyby choć jeden akkord tych dźwięków zapadł do kamiennej duszy zgnuśniałego w roskoszy pół-świata, gdyby choć jedna łza ognista umierającego z głodu żebraka jakim cudem przecisnęła się i spadła na wystudzone jego

łono, — zapewno zmartwychwstałaby w niém wiara w przyszłość, ocknęłaby się z ciężkiego letargu miłość bliźniego, chęć poświęcenia się dla bliźniego; a z tych niebieskich płomieni odrodziłoby się niebieskie uczucie, natchnione przy stworzeniu, odrodziłaby się myśl natchniona: cieszyć niedolę brata, — ocierać jego łzy — osładzać jego rospacz! O szalona ideo! z jakichże błahych marzydeł osnułaś swój wątek subtelny w rozognionej wyobraźni! Ja? ja — jeden?? — Ach jakaż myśl dziecinna zalała mą głowę — me serce! Ja zamierzałem głosem chorej duszy — ożywić nieme, zimne głazy, nieczułe na głos natury, na głos samego Boga. Zamierzałem mówić tak dużo, i zaledwie jeden wyraz złożyłem niemowlęcy — niezrozumiały wyraz, na któren rozśmieje się bluźnierca — niepojmie wyrodek natury! Nie! — Myślałem harmoniją serca — ułudzić, przytłumić walkę serca, rospacz duszy! i zaledwie trąciłem jego strony, trysnęła krew i odświeżyły się dawne bole, i cierpię — cierpię bardzo! O skupcie się przy mnie mili bracia, skupcie się u łona mego! już inną pocieszę was myślą — nie ziemską myślą! Czy widzicie te śliczne błękitne niebiosa, pyszniejsze nad wszystkie pałace tego świata, te cudne gwiazdy, jaśniejące piękniej nad wszystkie brylanty ziemskie? Tam wasze siedlisko, tam ojczyzna wasza! Czemuż wy nie tam!? czego oczekujecie jeszcze? albož niewidzicie tych pogardliwych spojrzeń, gotujących wam kamienowanie? i długoż będziecie pełzać w prochu i lizać stopy posągów — za to, że was nie depczą, trącają tylko? Wszak

wątki waszego istnienia osnute z tych prześwietnych tęczy, które zdobią skronie Cherubinów; wszakże pozorna wielkość ani jednym promyczkiem nie błyska w oczach Boga; a na ziemi iest tylko próchnem świecącym ślepcóm; — czemuż wysoka — anielska dusza wasza tak namiętnie lgnie do tego próchna? Czy to iest waszym udziałem?? Och! utkwijcie na zawsze rzenice zbłąkane w te wspaniałe dla was przygotowane siedlisko — niech oczy wasze utoną w tym czarodziejskim błękicie, i już nigdy niepowrócą z tamtąd: bo już nic nieznajdą dla pokarmu na tej spiekłej pustyni. Niech toną dalej i dalej — przenikają bez końca — aż dusza usłyszy melodyę Syonu, i do niej spłyną promienie Syonu i z nich ssać będzie słodki pokarm istnienia, jak niemowlę z łona czułej matki!

Upłynął miesiąc od pogrzebu rodziców Elodij; ludziom w szczęściu upłynął bardzo prędko — jak mignienie błyskawicy: bo żadna dotkliwość nietrąciła serca, żadna potrzeba niezajrzała w oczy; minął bez wspomnień, jak sen na roskosznem łożu, w którym przemarzyło się tyle boleśnych obrazów, tyle nikczemności, podejść, łez — nędzy. Wszystko to przeszło w okamgnieniu jak mara senna, choć to był jaw-oczewista prawda, choć nieraz jęczał żebrak pode drzwiami, nieraz płakała sierota na drodze, nieraz wołał więzień z za kraty, — ale żaden z tych dźwięków żałobnych niezapadł do lodowatej duszy, niewzbudził litości w kamiennym sercu; każden głaz był nieporuszonym — spał spokojnie, — a czas przeznaczenia dla jednych minął, drugim —

niewidno jak minie, i pogrąży znowu w sen, w którym się już nic nieśni, — na długo — aż grzmiąca trąba Cheruba powoła do zdania rachunku z życia!

Ale, kto zbogacił swą duszę ciężkiemi stratami; komu pierś rozdarta srogą boleścią, oddécha nadzieją wieczności; z czyich objęć okrutna śmierć wydarła wszystko, komu ostatnie łzy spadły na serce i ciężą jak gorące kamienie, silą się i niemogą wypłynąć na rzenice; — o! temu każda sekunda życia sączy się leniwo — jak zamierająca krew w żyłach, jak kropelka kryształu zachwycona mrozem, boleśnie — jak widok długiego konania serdecznej ofiary — jak ostatnie spojrzenie miłości!!!

O szczęśliwy — równie aniołóm szczęśliwy! komu w rospaczy przejrzała udręczona boleściami dusza i zasnuły się mgłą nieprzejrzaną oczy. O szczęśliwszy stokroć, kto heroizmem ducha pokonał doświadczenie mocy ducha, i nieupadł w rospaczy; — kto ujrzawszy promień natchnienia, — zapomniał co cierpi: bo wierzył dla czego cierpi; — czyje ciało wylało się na cierpienia, a dusza w godzinę męki grała chorem aniołów hymn tryumfu; — lecz najszczęśliwszy, kto zerwał z lica swego światową maskę, i swoje bole i swoje męki — zachował od urągania ludzi: by wygrać z nich nikomu niesłyszaną — nikomu niepojętą pieśń tęsknoty do lepszej krainy. Temu zagrzmiały piersi Serafów niebieskim akkordem — temu otworzyło się niebo i zajaśniał Syon. A czyje oczy zawisły na promieniach przedwiecznej światłości, ten i duszę i serce wyspiewał w chwale Panu, temu żadna ziemska pociecha

niepotrzebna, i biedny rozumem — kto ją szle w pomocy, kto niepojął wysokiego szczęścia istnienia w niebiosach, żyjąc na ziemi.

Była noc pełna roskoszy, pełna słodyczy. Xiężyc jak upojony pieniami gondoler, przesuwał się cicho między lekkiemi chmurkami, i to rostaczał promieniste tęcze po złotogłowych świątyniach uspionego grodu, to stroił w tajemniczy urok zielone terrasy gór, to narzucał fantastyczne arkady cieniów na czarowne wiszary i rozdoły; było cicho, błogo jak w niewinnem, anielskim sercu dziewicy. Na nagórnym cmętarzu przy kaplicy siedziało dwoje ludzi na darniowym grobowcu. Musieli się kochać wzajemnie: bo ich dłonie były zespolone, bo patrzyli na siebie w takim upojeniu, w takim zachwycie, jak gdyby niebo dla nich się otworzyło i zapewniło wieczne szczęście. Musieli się kochać niewinną, anielską miłością: bo twarze ich promieniły się tym rajskim uniesieniem, tą słodką światłością, jakie widzimy na licach gorąco modlących się, na licach tych ludzi, w serca których zstąpiła łaska ducha świętego, w dusze których przenikło światło światłości. Te dwie istoty siedziały nieruchome — nieme, jak grobowe posągi; — jakaż to miłość? Wy chcecie wiedzieć o mili bracia moi, co to za miłość??.. Czy zdarzało się wam kiedy, jakim wypadkiem losu, odłączyć się, gdzieś daleko — bardzo daleko od rodzinnej ziemi, od rodzinnej chatki i od tych, z któremi żyliście razem, i od tych, których kochaliście jak braci, więcej jak braci — jak życie, więcej jak życie; więcej jak wszystko na świecie;

odłączyć się dla tego, żeby żyć pomiędzy ludźmi niepojmującemi: ni waszego języka, ni waszej duszy, ni waszych uczuć? — i przeżywszy długo pośród tego niemego dla was świata, — jeśliście spotkali: nie druha, nie brata, nie tego co kochali tam — daleko od was, co kochacie i będziecie wiecznie kochać, — tylko ziomka, podobnie wam zarzuconego losem na drugi koniec świata, ziomka, któren rozumie waszą mowę — tylko mowę? czy głos jego, zwyczajny głos — nie uczuciowy — nie głos miłości; tylko jego pierwsze słowo, czy nieobudziło w waszym sercu najwyższej radości, najwyższego uniesienia. Czy nieprzycisnęliście tego pożądanego gościa do waszego łona, jak druha, jak brata, jak tego co kochacie tam daleko?? — A cóż się stało z wami, jeśli żyjąc w pustyni — spotkaliście takiego, coby rozumiał waszą tęsknotę, wasz żal, wasze łzy??!... — Tak też samo dzieje się na Bożym święcie i z temi, czyje dusze, czyje uczucia, i wszystko co tylko mieli na ziemi, — od nich się odłączyło i przeniosło na zawsze w niebiosa, a tu pozostały tylko ich smutne cienie, snujące się po powierszchni: jak opadły z obłoków dym wygorzałego do szczętu gmachu!

Teraz wiecie kochani bracia, jaka to miłość?.. Taką miłością byli połączeni Elodja i Edmónd. A ci dwaj ludzie: to byli oni.

Ranna jutrzenka już zapalała się na wschodzie i Boże stworzenia posłały pierwsze westchnienia w niebiosa. W ubogich chatkach po górach zabły-

skały ranne światełka, budzące do pracy do trosków. Zegary na wieżach uderzyły trzecią.

— Ach jak prędko czas mija w szczęściu, drogi Edmóndzie! przemówiła Elodja, jakby przebudzona z słodkich marzeń; Bóg natchnął mię szczęśliwą myślą!

— Jesteś więc szczęśliwą! zawołał z uniesieniem Edmónd tuląc ją do łona; więc iesteś szczęśliwą aniele pocieszycielu mój? wszak ludzie odebrali ci wszystko, co pozostawił Bóg!

— Moje wszystko w niebiosach! przemówiła z głębokim westchnieniem Elodja, utkwiwszy oczy w błękitne sklepienie. O! tam moje wszystko, oprócz łez!

— A na ziemi nikogo już niema coby otarł te łzy; coby słowem duszy niewinnej, osłodził zbolałe serce twoje; coby głosem uczuć najczystszych, obudził nadzieję życia?

— Teraz tyle iestem szczęśliwą, tak mi dobrze, że każde słowo pociechy, byłoby bluźnierczym zamiarem rujnowania dzieła Stwórcy. Jam szczęśliwa z mą myślą — tylko z myślą; — ach jakże będę szczęśliwą, gdy myśli moje staną się czynem!

— O! anielska duszo! wyrzekł z boleścią Edmónd, pojmując te wysokie myśli. Rozumiem natchnienie twoje, widzę cel twój! Lecz czemuż niewolno mi będzie patrzeć na cię; tak czule rozmawiać z twą duszą niebieską i bydź równie szczęśliwym. — Czemu znowu mię wtrącasz do otchłani nieczucia; gdzie może długo w okowach życia będzie jęczeć ztęskniona dusza moja; gdzie może długo

będę dźwigać brzemie łez, bez wykrycia ich temu co je rozumie. Elodjo! tyś szczęśliwa! o czemuż niewolno mi mieć udziału w twém szczęściu!?

— Niebo natchnęło mię tą świętą myślą — gdym się modliła z tobą; i dusza moja jakby odziana promieńmi wiekuistej światłości, jakby upojona niewypowiedzianym uniesieniem, uczuła się wolną od ciężarów żałości i smutku. Słyszałam wtedy głosy drogiej matki, lubej siostry: do nas, do nas! ukochana córko! jedyna siostro. Tu tak dobrze, tak lubo! — Potem widziałam jak wyciągały ku mnie swe śnieżne dłonie, mówiąc: patrz! my tak blizko ciebie — podaj nam swe ręce — porzuć ten brudny świat, tych brudnych ludzi!..

— Ach luba! to przyzwanie niebios! to objaw Wszechmocy! przerwał Edmónd z najwyższym zadziwieniem, więc już mię porzucisz — zapomnisz, i o tém zapomniesz, żeśmy się razem modlili — razem płakali?

— A wiesz że mój drogi, dla czego się rozstaniem? mówiła Elodja, głosem pełnym wiary, — rozstaniem się — abyśmy znowu byli razem — razem na wieki! W życiu, ty wiesz, jaką byłam próżną — światową? O jakież szczęście że dziś mogę pogardzić tą śmieszną ułudą, do której tak jeszcze nie dawno lgnęła niedoświadczona dusza! Czy widzisz mój miły! te jasne promyki na wschodzie? to hasło mego wezwania, to tryumf mej stałości, to zwiastunka dnia co w sercu mojem zaświtał. Żegnaj mi przyjacielu jedyny!

I utkwiła swe spojrzenie w oczach Edmónda, bolesne spojrzenie, którego niemożna wyrazić, które ten tylko uczuć może, kto w pustyni żegna się na zawsze z jedyną przyjazną istotą, na zawsze — bez nadziei! A Edmóndowi pociemniało w oczach i w sercu zrobiło się czegoś tak głucho, tak straszno: jak gdyby nadzieja przyszłości w niém znikła. On skłonił swą głowę na ramię Elodij, i z omdlałych powiek wytoczyło się na lica jego maleńka zimna łezka; toczy, toczy — zawisła czystą perełką i spadła na łono niebieskiej kochanki.

— Co to?

— Co moja droga?

— Jeszcze łza miłości z twych oczu padła na moje serce; ach nielitościwie pali — czy czujesz jak boleśnie pali? powtórzyła, cisnąc swe piersi do piersi Edmónda!

— Elodjo! na miłość Boską! nieopuszczaj mię!

— Ślub mój wykonany! Edmóndzie opuść mię! W niebiosach słodsza miłość! — Zaklinam cię tą miłością opuść mię! Godzina mego szczęścia wybiła!

— Jedną chwilkę — tylko jedną chwilkę bądź ze mną! zaklinam cię na twoje zbawienie! Dusza moja nigdy jeszcze niebyła tak smutną!

— O Edmóndzie najmilszy! serce mi pęka z żalu; lecz głos Boga silniejszy nad głosy całego świata! Żegnam cię! idę tam, dokąd woła mię Bóg!

I usta ich zespoliły się ostatnim ziemskim pocałunkiem, i łona ich złączyły ostatnim ziemskim uściskiem i serca ich ozwały się ostatnim ziemskim biciem. A po licach jak cudne brylanty płynęły

łzy, a z piersi leciały westchnienia, takie gorące, takie ciężkie, jakby dusza z tamtąd wyrwać się siliła. Po chwili z ust Edmónda lały się jakieś okropne narzekania, bluźniercze narzekania, na które zachmurza się oblicze Pana wszechświata, na które powstają zastępy piekielne! A Elodja przestała płakać, przestała wzdychać; tylko załamała ręce, podniosła ku niebu i wymówiła uroczystym głosem:

— Edmóndzie! to słyszy Bóg!

A on jak piorunem rażony zachwiał się i upadł na świętą ziemię, a dusza, mocno dusza zalała się obfitemi łzami, łzami jakiemi nigdy niepłaczą oczy: bo te łzy były hołdem dziękczynienia Najwyższemu, były tryumfem pokonania zastępów piekielnych.

O przeklęty szatanie! poco rujnujesz nasze szczęście, nasze niebo, w momencie, kiedy czujemy to szczęście, kiedy wstępujemy do tego nieba! Lecz o jak wiele cudów Twoich, niepojęty żadnym rozumem, niewysławiony żadnym językiem, wielki Boże! Coż by się stało z nami, biednemi atomami Twego stworzenia, gdybyś na jedną chwilkę nas opuścił — gdybyś aniołom twoim świętym niekazał nas pilnować? Ach! o potężny Władzco wszechświata! nieograniczony w miłosierdziu Twoim Panie — nieopuszczaj mię na tych ślizkich bezdrożach! niech promień łaski Twojej przyświeca i sercu i duszy mojej, by nieupadły do otchłani grzechu! Och! nieopuszczaj mię w tem nikczemnym istnieniu, w godzinę skonu i w ów dzień, kiedy staną przed Tobą wszyscy!!!

Dzwony na górnej kaplicy ogłosiły modły za umarłych, i pobożni zaczęli się schodzić, zwyczajnie jak w czyjem sercu tkwi pamięć utraconych rodziców, braci, krewnych, albo kogo takiego za kim dusza tęskni: to często przychodzi choć modlitwą serdeczną przypomnieć się uspionym w Panu.

Edmónd otworzył oczy. On tu był sam tylko. Czarne wspomnienie jak śmiertelnym całunem pokryło jego duszę — serce wstrząsneła piekielna febra. W oczach jego te święte miejsce zmieniło się w piekło. On zebrał wszystkie siły, podniósł się, i zatrwożony duchem, pędził do swej niewinnej schrony, przeklinając świat, życie, uczucia, — i przybiegłszy do łoża łez, łoża smutku i niebieskich myśli, rzucił się na nię obciążony brzemieniem rospaczy. O biada temu, kto utraci nadzieję i ufność w miłosierdziu Boskim, — biada temu, kogo litość Przedwiecznego w okropnej godzinie rospaczy, niewesprze swą łaską niebieską!

Sen błogi, swemi skrzydły owionął słabe znużone ciało, a dobry Bóg, znękaną duszę pocieszył we śnie cudnym obrazem. Tym obrazem był cały świat niebieskich duchów, i pośród nich duch jej istnienia w niebiosach — anioł pocieszyciel — najcudniejszy ze wszystkich! I święte były pienia tych duchów, pienia zachęcające do wytrwania w boleściach. I dziwne były ich formy, trudne do opisania ludziom: bo w tym świecie niema ziemskich kolorów, niema ziemskich wyrazów; a na ziemi w śmiertelnym ręku niema tęczy zamiast pióra,

w śmiertelnych ustach niema gwiazd i promieni zamiast słów.

Są dusze co pojmują tę nieskalanie—czystą harmonię niebieskich tajemnic; są serca pełne tych świętych marzeń, kwitnących nieśmiertelną nadzieją wiecznego życia. Lecz tych roskosznych dźwięków nieobudzą, tych rajskich idei nieożywią, żadne ziemskie upojenie, zadne ludzkie zachwyty; nic! oprócz woli Przedwiecznego, oprócz Jego nieprzebranej litości.

Oby ci szczęśliwi we śnie, nietrwożyli duszy spojrzeniem na ten padoł nędzy — i spali bez przerwy, pokąd trąba Archanioła nieocknie ich, by obaczyć wiekuistą rzeczywistość!!!

XI.

Priez, si vous voulez, ô douce jeune fille,
Que parmi tous les fronts votre front chaste brille;
Si vous voulez l'amour, si vous voulez le ciel!

A. Dumas.

Błogosławiony, w czyjem łonie zawczasu rozświtało przekonanie o znikomej próżności doczesnego świata; czyja myśl stargała więzy ciemnoty, a serce zawcześnie polubiło słodycz niebieskich natchnień, i rozmiłowało się w Panu! Tego dusza rozpromieni się szeroko jak wschodzące słońce z morskiej kąpieli — rozleje najczystsze aromaty jak tysiące rozkwitłych lilij, i już na zawsze ucichnie w niej pragnienie ziemskiego szczęścia, ziemskich roskoszy; ona niepojmie serdecznych akkordów; nierozczuli się na nie, niepołączy się z niemi: bo gdzie świeci wspaniałe słońce, czyż widać biedną maleńką gwiazdkę; gdzie niebieskim chorem rozlega się muzyka

aniołów; czyż tam będzie słyszany cichy głos człowieka żebrzący współuczucia??

Dzień już był na schyłku, a Edmónd jeszcze w uściskach snu błogiego cieszył się roskoszami nadziemskiego świata. Trudno mu było rozstać się z tą niebieską radością — z temi anielskiemi objawami co kołyszą serce Boską słodyczą — ach! trudno: bo już nic nieczekało go na ziemi. I może długo dusza jego poiłaby się tą wysoką radością niepojętą ziemskiemu stworzeniu; może nigdy niepowróciłaby już do swej nędznej lepianki, gdyby głos przyjaźnej istoty niepowołał ją do połączenia się z omdlałym ciałem — do ożywienia go swą świętą obecnością.

— Już tak późno, a ty spisz jeszcze mój luby druhu! mówił Ernest, wchodząc do pokoju Edmónda, wstań mój miły! przychodzę pożegnać cię!

— O drogi przyjacielu! zawołał z ocknienia Edmónd, jakąż wesołą nowinkę przyszedłeś mi zwiastować? Czy ukończyłeś examin?

— Wczoraj otrzymałem dyplom na Magistra prawa i dziś kosztem skarbu wyjeżdżam do Berlina.

— Więc i ty mię opuszczasz — i z tobą jedynym przyjacielem na ziemi mam się na wieki pożegnać? Wszyscy mię opuścili — tylko jeden Bóg mi pozostał.

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi Edmónda i oczy zabłyskały łzami.

— Wszakże to na jeden rok tylko mamy się rozstać z tobą, rzekł Ernest całując go; czas ten minie prędko — bardzo prędko.

— O! gdybyś ty wiedział jak trudno przeżyć w boleściach — w tęsknocie jeden dzień, jedną godzinę; gdybyś ty wierzył, że rok takiego życia równa się mękom wiecznego piekła....

— Ja co poczty będę do ciebie pisał — będę rozmawiał z tobą o moich przygodach — wszystkiemi przyjemnościami z tobą się podzielę.

— Świat cię zaślepi, zagłuszy — umorzy twoje uczucia, zapomnisz o wszystkim.

— O najmilszy Edmóndzie! przyjaźń moja dla ciebie i po tamtej stronie grobu niezgaśnie — zaklinam się na moje zbawienie!

— Obrażasz Boga! zapomnisz o zaklęciu.

— Pójdźmy do kościoła. W obliczu Najwyższego zapewnię cię o wiecznie trwałém uczuciu mego serca!

— Dobrze myślisz Erneście. Pójdźmy tam! ostatni raz pomodlimy się społem, społem zapłaczemy! Wierz mi, takie rozstanie chyba w występnej duszy da się wytrzeć z pamięci.

Natchnieni pobożną myślą, podali sobie przyjacielskie dłonie i poszli do kościoła świętego Floryana, najbliższego od domu, gdzie mieszkał Edmónd.

Wieczorne modły, minęło pół godziny, jak się ukończyły. W świątyni panowała najgłębsza cichość. Jedna tylko lampa przed obrazem wieczerzy Pańskiej migała omdlałym światłem; a promienie zachodzącego słońca oblewały złotym blaskiem bogaty fronton świętych Bożych.

Edmónd z Ernestem uklękli z upokorzonym sercem przed obrazem przeczystej dziewicy i zaczęli się szczerze modlić, modlić całą duszą — wszystkiemi myślami.

O! jak lubo — jak słodko, wieczorną godziną modlić się w świątyni Pańskiej! — Gdybyście wiedzieli nieczuli ludzie!? ludzie słabej wiary!? tacy: co zaniechaliście obowiązki Chrześcijanina, co jesteście pyszni wyzuciem Chrześcijańskiego ducha, co wstydzicie się Pańskiego krzyża; tacy, co tylko dla obrazy Majestatu Bożego, przychodzicie pod pozorem modlitwy — tylko dla widowiska i nasycenia bezbożnych serc waszych próżnością i głupstwem! Ach! gdybyście, mówię, wiedzieli, co to za roskosz modlić się samotnie — w obec Najwyższego! gdybyście uczuli w sobie samych jasny cud objawienia świętego ducha; jak dusza rozszerza się bez granic, unosi się do niebios, i pojmuje wszystko niedocieczone rozumem, i wierzy z taką głęboką pokorą, z takim skruszonem sercem, z takim anielskim zachwyceniem, o grzesznicy zapamiętali! stalibyście się aniołami! O! w dobroci nieprzebrany — w miłosierdziu nieograniczony, litościwy Panie! natchnij nas gorącym pragnieniem modlenia się, otworz serca nasze i napełnij je ogniem wiary i mądrości, a w duszach naszych łaską ducha świętego wypleń szatańskie zarody bluźnierczej wątpliwości w przedwieczne prawdy Twoje!

Boże słońce już schowało się za cmentarzową górę, tylko ostatni jego promyk niknął na żelaznej posadzce kościoła. Edmónd i Ernest, oddawszy głę-

boki pokłon, już mieli wychodzić, w tém lekkie jakby z piersi anioła, rozległo się westchnienie: »o mój Boże!« Oni spojrzeli na stronę, i oczóm ich ukazał się widok zachwycający pobożną duszę.

Pod lewym filarem klęczała jakaś anielska dziewica; biedna, już pożegnała się z światem! Geniusz niebieskiego oczarowania był z nią, bo się modliła, ale jak się modliła!!?? Szczęśliwy, kto rozumie tę modlitwę, kto tak może się modlić! Oczy jej były nieporuszone — zatopione w tém jednem miejscu, z kąd człowiek otrzymać wszystko może, a dusza wznosiła się tam, gdzie żadna myśl badacza, żaden rozum mędrca nigdy niedoleci. Na licach jej niebyło wyrazów pojętych dla oka — dla serca nawet; tam jaśniało w jakiemś tajemniczém zespoleniu wszystko co cechuje oblicza Serafinów: cichość, wielkość, nawet uczucia; lecz takie uczucia, co przeniosły się za granice ziemskie, co na wieki złączyły się z ogniskiem miłości, płonącej bez początku i końca, co na wieki oniemiały na wszystkie ziemskie wezwania, na wszystkie serdeczne zachwyty. Zrzenice jej już niemiały blasku, jakaś głęboka ciemność panowała w nich. Usta były nieporuszone: bo modliła się duszą — wysoką — dziewiczą duszą, która tylko może przejrzeć do Syońskiej stolicy, która tylko dostojną iest kosztować niebieskich słodyczy — niebieskich radości, przygotowanych nieskalanym żadną ziemskością.

Osłupiali z podziwu, Edmónd i Ernest, stali nieśmiejąc poruszyć się z miejsca. Dusze ich, po-

grążone w cichę, słodką melancholiję, pełne były uczuć, wznoszących je w czyste, święte uniesienia.

Długo patrzali oni na ten obraz najwyższej łaski, jaka tylko zstąpić może do serca człowieka z serca Boga; patrzali w świętém natchnieniu, oczekując końca tej cudownej modlitwy, śledząc ziemskich wyrażeń. Niestety! niepostrzegli żadnych: bo taka modlitwa niéma końca, bo tą modlitwą iest jedna nieprzeżyta myśl o niebieskim wiecznym szczęściu, bo tą modlitwą iest nadziemska muzyka złączonych w jedno wszystkich wysokich, nieskalanych uczuć, która gdy się tylko raz sformuje w duszy, już nieskończenie brzmi, nieskończenie spoli z muzyką radości w niebiosach, z muzyką nadgrody za zwycięztwo świata, za pokonanie siebie!

Sygnał zamknięcia bram klasztornych wzywał na spoczynek. Świątobliwe zakonnice poczęły się schodzić do swoich celek, i anielska dziewica powstała; oczy jej spotkały się z oczami Edmónda jak dwie błyskawice. On poznał ją: bo dusza jego dopiéro tęskniła do niebios, do choru anielskiego; a ona już go niemogła poznać: bo była aniołem w niebiosach, gdzie zapomina się wszystko żiemskie!

Noc już owiła ziemię w swój roskoszny welum, a prześliczne gwiazdeczki rozsiały się w ciemno-lazurowym podniebiu. Dwaj przyjacioł smutni duszą powracali do domu: by na łonie przyjaźni w serdecznym uścisku rozstać się może na długo — Bóg wie — jak na długo. Myśli ich były pogrążone w przyszłości, usta milczały, dłonie zespolone. Zaledwie kilkanaście uszli kroków, nagle ozwała się

żałobna muzyka, i za chwilę z bokowej ulicy, pokazały się niezliczone chorągwie, tysiące pochodni i orszak wyższego duchowieństwa. Ośm koni w czarnych przykryciach ciągnęły wspaniały baldachim, pod którym jaśniała bogata trumna obita białym atłasem.

— Ktoż to znowu opuścił ten świat? zapytał Edmónd zbliżającego się człowieka z poważną fizyonomiją.

— A witam Pana, my cokolwiek znani z sobą.

— Pan leczyłeś żonę Radcy R.?

— Tak niezawodnie; i tę leczyłem, którą teraz chowają; ale już zapóźno potrzebowano mej rady, a nawet żadna pomoc, choćby i przed tém, byłaby daremną.

— Kogoż to prowadzą? pewnie jakaś dziewica wcześnie tak — rozstała się z ludźmi, żeby zostać aniołem?

— O nie, to była wdowa po jednym bogatym Baronie.

— O Boże! czy nie Baronowa Olga K.?

— Najniezawodniej; to ona.

— Wszakże trzy dni temu, jak dawała u siebie wielki bal maskowy?

— Tak zawsze bywa, kto polega na własnym rozumie.

— Z czegoż tak nagle umarła?

— To było, at — maleńkie niedoświadczenie, zanadto wielką zażyła dozę.

— Alboż przedtém chorowała?

— At! tak było potrzeba uczynić, ale tylko ostróżnie za poradą doświadczonych ludzi.

— Coż to było takiego? proszę mię zaspokoić.

— At! dużo o tem mówić, a niema czego słuchać; do widzenia się, to nie moja rzecz, muszę iść: bo iestem ciekawy, jakie utną kazanie o jej cnotach.

— Kto czém wojuje od tego ginie, wyrzekł ktoś z tłumu w tej samej chwili.

— Rozumiem, przemówił cicho Edmónd z ciężkim westchnieniem. Niezbadane wyroki Twoje sprawiedliwy Panie!

Żałobny karawan posuwał się zwolna. Edmónd i Ernest patrzali w tę stronę długo. Nakoniec wniesiono trumnę do kościoła Uspienia Bogarodzicy, i ucich pogrzebowy marsz.

— Widziałeś trwałość ziemskiego szczęścia mój luby przyjacielu? zapytał Edmónd Ernesta, gdy powrócili do domu.

— Ach jak smutno patrzeć na tę niezachwianą prawdę drogi Edmóndzie!

— Jednak jaka roskosz wstępuje do duszy na myśl: że szczęście niebieskie nigdy niebędzie mieć końca.

— Czyż cię nietrwoży myśl o śmierci?

— O śmierci?! O! mój miły druhu! wszakże wierzysz: że śmierć iest niebieską posłanką dla ocknienia biednego człowieka z ciężkiego letargu cierpień i wprowadzenia go tam, gdzie tak długo tęsknił, z kąd tak cudnie świeciły wszystkie jego nadzieje? Cożby nas przywiązywało do tego wytrwa-

nia w przeciwnościach, cożby zachęcało do wysokich poświęceń wszystkiego co utrzymuje życie i samego życia, gdyby nie pewność że za grobem dopiero otworzą się prawdziwe oczy, że tam dopiéro otrzymamy nieśmiertelną nadgrodę, jakiej żadna ziemska potęga udzielić — żaden ziemski rozum wystawić — nigdy niemoże.

Słodko minęła noc na świątobliwej rozmowie serdecznych przyjacioł, a sen nieśmiał trącać ich zrzenic. Roskoszowały ich czyste dusze w natchnionem rozpamiętywaniu, rozpływały się ich serca ukołysane w niebieskich nadziejach przyszłości, i niebo było od nich blizko: bo anielska harmonija dźwięczała w ich ustach, bo Syońska światłości promieniła się w ich oczach. Ach! jak prędko czas mija w szczęśliwym zapomnieniu ziemskości: kiedy dwie dusze, pojmujące siebie, zleją się w jedną myśl wysoką, w jedno przekonanie gromami przeciwności niezłamane — ułudą roskoszy niestarte! O jakże bolesny ich rozryw!

Zwiduiało już zupełnie, gdy wszedł służący z oznajmieniem, że pocztowe konie od dwóch godzin czekają na Ernesta.

Czy doświadczaliście wy kiedy mili przyjaciele moi, tego bolu serca, tego drzenia serca, tego zamierania serca; kiedy wszystko: piękne, wielkie, godne uwielbienia, maleje, niknie i zupełnie zaciemnia się w oku; kiedy wszystko, leżące głęboko w duszy to, co karmi w dolegliwościach znękane serce, to co napawa męztwem zdobycia cierniowego wieńca, tego co kiedyś zajaśnieje nad gwiazdy nie-

bieskie, przed którym zadrzą duchy ciemnoty, — już niema potęgi, niema muzyki, rozczarować wyobraźnią, rozkołysać duszę, upoić serce??? O! wy niepojmujecie najdrożsi! co to za ból? — Niemoty ust i oka — przy rozstaniach, daleko wam zrozumieć! Wam potrzeba wykrzyków, wam potrzeba łez na przekonanie, wam potrzeba życia na dowód!

— Nam się rozstać potrzeba luby przyjacielu, przemówił w głębokim smutku, po chwili milczenia, Ernest. Tak chcą nieba; — nie nam odmieniać przedwieczne zamiary, mówił z religijnym entuzyazmem dalej, cisnąc do swej piersi, przepełnioną goryczą pierś Edmőnda.

Zamgliły się jego oczy, w tym pożegnalnym uścisku; omdlało jego serce na te bolesne wyrazy, i dużo miał on mówić, i ciężka chmura płaczu krążyła pod jego zrzenicą; dla czegoż usta zaledwie wycisnęły z głębi serca: »I ty mię opuszczasz jedyny«; dla czegoż oczy ni jednej nieuroniły łezki; tylko błyskały tym posępnym promykiem jak gwiazdeczki wysokie po zejściu jutrzenki świtania? dla czego? Bo gdy płacze dusza — oko niezapłacze; bo gdy ściśnie się serce — nieprzemówią usta; o! zajrzyjcie wtedy w oczy — o! pojmijcie wtedy ich mowę wyraźniejszą — rzeczywistszą nad wszystkie wysłowienia — o! ozwijcie się wtedy tym samym niemym językiem oka, tą samą prawdziwością uczuć, ozwijcie się, którzy macie serca! natenczas obaczycie w zrzenicach łzy ulżenia, usłyszycie wyrazy zimniejsze od wyrazów oka: bo ust wyrazy!! —

— Ty mię niezapomnisz mój drogi, przemówił z goryczą Edmónd, w chwili gdy postylion ruszył z miejsca.

— Prędżej mię zapomni Bóg! prędzej mię zabierze śmierć! powtarzał kilkakrotnie Ernest; i te straszliwe zaklęcie długo dźwięczało w powietrzu; nakoniec on znikł i słowa jego zacichły; dusza tylko Edmónda ukryła je głęboko, jak talizman ostatniego doświadczenia, a usta po długiej niemocie zadrzały w wyrazach, nie niebem natchnionych: »O Boże! uzbrój mię kolczugą wytrwania, lub odbierz te nieznośne życie!«

O! czegoż w rospaczy nieuczyni człowiek!

— Bluźnierco! pomnij na przyszłość! rozległ się głos z piersi przechodzącego żebraka z przewodnikiem.

— Ach! tyś mi pozostał jeszcze! przemówił w rozrzewnieniu Edmónd, chwytając go za rękę. — Starcze! pęka mi serce — łamie się pierś, a życie tleje i tleje jak zatajony ogień w ogromnym labyryncie; poradź przyjacielu, poradź: kędy droga do śmierci??

— A wierzysz ty w ciała zmartwychwstanie? zapytał groźnym tonem dziad, wstrząsając całą postawą Edmónda; a wierzysz ty w miłość niebieską, co trwa bez końca w anielskich sercach? dodał z słodyczą, tamując energję duszy.

— Niebaczny! ach! cożem wymówił! zawołał on po krótkiej determinacyi. Dobry Boże! Ty przebaczysz uniesienie żalu, uniesienie serdecznego bolu, powtarzał, patrząc z najgorętszą wiarą w niebiosa;

Elodjo moja! aniele Boży! choć jednym promykiem twego cudnego oka spłyń teraz do mojej zbolałej duszy!

— Tyś chory mój drogi Panie, o! tyś bardzo chory! mówił dziad z głębokim poruszeniem. Pójdźmy na grób Elodij, pójdźmy razem! ty się niewstydzisz żebraka. Tam pomodlimy się razem; a szczera modlitwa może łzę obudzi — a rospacz, o! rospacz ukoi pewnie!

Przyszli na świętą górę, i ucałowali drogie sercu mogiły. Starzec stroił do spiewu lutnię, a Edmónd gorąco się modlił, i płynęła ta modlitwa w niebiosa płomienistym strumieniem pokory i ufności w Panu; pękły okowy smutku co ściskały serce, i rozjaśniło się w duszy.

Tym czasem dziad nastroił lutnię; uderzył kilka akkordów, stróny zadźwięczały; ocknął się Edmónd, zbliżył się do dziada i skłonił swą głowę na jego piersi.

— Spojrzyj mój miły Panie w około, czy niéma nikogo na cmentarzu, rzekł starzec do Edmónda znaczącym tonem, a ty dziécię moje, dodał, biorąc za rękę przewodnika, obiegnij poblizkie mogiłki, czy kto niemodli się — nieplacze skrycie.

Wnuczek dziada natychmiast pobiegł po cmętarzu i powrócił za dwie minuty z oznajmieniem: że jakichś dwóch mężczyzn siedzą w kilku krokach za krzakiem bzu, i jakby umyślnie skryli się dla postrzegania ich.

— A na cóż ci dziaduniu wiedzieć o tém? zapytał w podziwieniu Edmónd.

— Nie, mój mily! niepowiem tu już ni słowa o tém com ci chciał wykryć.

— Dla czegoż kochany mój dziaduniu?

— To moja tajemnica, głęboko w duszy ukryta, O! ty wiesz jak boleśnie odkrywać serdeczne rany takim, co zamiast obmyć łzami współuczucia, uśmiechem piekielnej złośliwości, jeszcze głębiej je rozkrwawią.

— Szanuję twoją tajemnicę, tym więcej ją cenię, kiedy sam tak cierpię okropnie, jakbym za grzechy całego świata odbywał pokutę.

— Ach! cożeś znowu wymówił, biedny grzesniku! zawołał litościwym tonem starzec, nagle powstając z tego miejsca gdzie siedział; czy rozumiesz coś wyrzekł nieszczęsny! czy wiesz o tém: kto cierpiał i jak cierpiał za grzechy świata!! O najświętsza krwi Twoja, obmyj sprośne usta nasze! O najczystszy zdroju naszego zbawienia! oczyść język nasz skalany bluźnierstwem, nieprzyjaciołmi duszy naszej natchnionem! Panie! Panie! niepomnij na porywy rospaczy w dzień Twego sądu!

Edmónd klęczał — z oczami wzniesionémi w niebo, a dziad przykuł swe czoło do mogilnej darni, i usta jego umilkły: bo modlitwa taka niedługo dźwięczy w wyrazach, bo modlitwa taka niedługo leci do Boga!

— Dziaduniu, oni już tu przyszli i zaglądają przez sztachety, — mówiło dziécię co wodziło ślepca, trącając go z lekka.

— Kto dziecię moje? zapytał nieco pomieszany dziad, przerywając modlitwę.

— Ci, co tam za bzem siedzieli.

Edmónd spojrzał w stronę, i obaczywszy dwóch ichmościow w błękitnych okularach z zadartemi nosami i najerzonemi czubami, ciekawie przypatrującym się miejscu gdzie on z dziadem modlili się tak serdecznie, — zauważył to ślepcowi i spiesznie spuścili się z góry.

— Kiedyż się obaczem dziaduniu? zapytał Edmónd starca, gdy ten zwracał w inną stronę.

— Gdy tobie będzie smutno, przyjdź do mojej ubogiej chatki. Tam otworzę ci mą duszę, tam zaspiewam ci pieśń, jeszcze nikomu nieznaną, taką pieśń, która wyciśnie łzy z kamiennego serca, — a w smutku czemże są łzy? — słodkim balsamem, leczącym najgłębsze rany; — szczęśliwy, kto w smutku płakać może, — szczęśliwy, czyja piosenka obudzi w łonie rospaczy w godzinę, kiedy nadzieja niknie — te łzy cudowny, te łzy błogosławione.

Słowa starca przenikły serce Edmónda. On rzucił się w jego objęcia, całował jego wybladłe lica, jego wyschłe ręce, — i rozstał się z upewnieniem: że tylko on jeden pozostał mu na ziemi, on jeden zrozumiał go, i do kogóżby przyszedł leczyć biedne, znękane boleściami serce?

Jak myślicie, serdeczni bracia moi, czém iest nie słowo pociechy: bo coż pociecha w rospaczy, — nietłumaczenia bezrozumu: bo cierpiąca dusza widzi jaśniej jak oczy głupiego tłumacza, — a glos współuczucia — westchnienie współ-boleści — w chwili, kiedy wszystko ogluchnie, wszystko zmieni się w jakiś chaostyczny bezład, i człowiek mimowolnie wy-

rzeknie w ucisku serdecznych boleści: »na co mię stworzyłeś....?!« Czy wiecie o tej oczewistej prawdzie, że śmiertelne rany od jadu — tym samym jadem się leczą? — O czemuż niewiecie: że współuczucie dla chorej duszy, iest najcudniejszą muzyką aniołów, zdolną ją poruszyć — ocucić z boleśnego letargu — przenieść do jej ukochanej ojczyzny — połączyć z jej całością — upromienić jej blaskiem — napoić jej harmoniją? — O! czemuż niepojmujecie tego! — Prędko przebudzicie się w swej duszy — prędko otworzycie oczy: bo cząstka przedwieczna — oniemiała w zgnuśniałem łożysku, — uczuje wstrząsnienie Wszechmocy, ale już będzie zapóźno!..... Jeszcze pali się słońce, i błyskają nad wami gwiazdeczki Boże, — wstąpcie do swojej duszy — nakłońcie ucho — może głosem żałobnego rozstania, lub omdlałym jękiem ratunku do was się ozwie!

XII.

Umieram!... oni patrzą i niewierzą że
umieram....
O! dla czegoż tak długo umieram!!.....
L. W. Tajemnica.

O! z jaką szczerą wiarą, z jakim niezachwianym upewnieniem — wynurza się osierociałe serce drugiemu, równie cierpiącemu sercu. Wtedy dziwnie czarowną muzyką dźwięczy każda tajemnicza boleść, a słowa płyną i płyną bez przerwy — jak słodkie łzy czułości, gdy rozświta dawno pogasła gwiazda nadziei, i promieńmi swemi przeniknie do ich źródła.

W sześć tygodni po odjeździe Ernesta, Edmund odebrał z poczty taki list:

»Jedyny na ziemi przyjacielu!«

»Gdy spójrzysz na te wyrazy, serce co je wylało,
»już bić niebędzie. Strzelałem się. — Druhu luby!
»pomódl się za mnie. — Za godzinę umrę; — przyjm
»otwartą duszą ostatni uścisk — ostatnie westchnienie

»Ernesta.«

Jak skra błyskawicy, oczy Edmónda przebiegły ten list, i pogasły w czarnych chmurach rospaczy. Nagłe pociski, później dopiero gwałtownym ozwą się bolem, a w chwili ciosu, człowiek nieczuje nawet że odebrał śmiertelną ranę, — i Edmónd niestracił zmysłów — niepadł na ziemię, przeczytawszy ten list; tylko dusza — tylko czucie w niém zamarło. On stał nieruchomy — zimny, a ludzie zaglądali mu w oczy i mówili: »To warjat! on zwarjował z miłości!« Ni ucho jego słyszało, ni serce jego czuło złośliwość tych nędznych istot. Nieraz niemiały ich usta w przestrachu, a dusza ich całe życie niema. Biedni niemocą ciała i ducha — podobni złośliwym padalcóm, czatującym z jadem na przechodnia.

— Odprowadźcie go do domu. On do jutra umrze, mówił do obecnych nibyto jakiś tam doktor, trzymając Edmónda za pulsa. Patrzcie, jak on zbladł, jak mu zsiniały usta i obłąkały się oczy.

O! daleko wam rozpoznać choroby duszy, wszyscy doktorowie ziemscy! — o daleko — całym rozumem waszym przeniknąć w ten świat ducha, i dostrzedz w niém wszystkie strony, składające harmoniją, co żywi uciśnione serce! — a cóż dopiero pojąć tę muzykę i poznać jakiego w niej brakuje tonu! Patrzycie najzimniej na konanie, oswoiliście się ze łkaniem rospaczy! a gdzież wam czuć razem z bolejącym — cierpieć razem z bolejącym.... Biegnijcie mili bracia po doktora, któren ma serce, któren umie płakać; — zawierzcie mu: bo kto zna

serce — ma rozum — ma współuczucie — ma litość — ma religię!....

Minęło pół godziny. Edmónd leżał nieruchomo na swoim łożu. Śmiertelna bladość rozlała się po jego licach — oczy były zamknięte — obecni myśleli że on umarł, i dziwili się temu, mówiąc: no, tak nagle? i gdybyż to było czego? No, dziwny człowiek! on cierpiał spazmy, manię — no, a taki flegmatyk — zdawało się — tak go wszystko mało obchodziło i. t p. Lecz on żył jeszcze; — zasłona, okrywająca go, pokazywała że biło serce — gwałtownie biło; jak ptaszyna Boża, w ciasnej zamkniętа klatce, tęskniąca za swobodą — za lubą.

Posiedzieli, pogadali, pożałowali dobrzy sąsiedzi, zwyczajnie jak się to dzieje na świecie, i pomaleńku jeden za drugim powrócili do swoich domów; a biedny Edmónd pozostał sam. Tylko jakiś ślepy dziad, co dotąd siedział przy progu z przewodnikiem — przysunął się do niego i swą siwą głowę przytulił do jego poduszki. Coż to iest? Zlodowaciał świat! uczucia pozostały u żebraków tylko?..... biedni! przypatrzcie się jak płacze i jęczy pies! — a wyż ludzie!... gdzie podzieliście wasze dusze??

O północy Edmónd otworzył oczy, i promienie ich utonęły w licach starca.

— Do ostatniego tchnienia — tyś zemną! zawołał tonem najgłębszej wdzięczności, zbliżywszy swe usta do głowy dziada. A oni gdzie? — ach! oni nieznioszą mego konania!

— Ty będziesz żył! anielska duszo! wykrzyknął z energią starzec, porywając swą lutnię; mam tony twego serca w mém sercu; cząstkę twego czucia w mém łonie, — duszy w mej duszy, — życia w mém życiu! Edmóndzie! zaspiewam ci jedną piosenkę, którąm kiedyś ułożył dla pewnej pamiątki...

— Starcze! otwórz mi twą duszę — serce moje mocniej bić zaczyna, przerwał temi słowy Edmónd, i zapłonęły jego lica.

Dziad mówił dalej:

— Jak ty — byłem i ja kiedyś w Uniwersytecie; jak ty — otrzymałem stopień doktora filozofii; ale nie jak ty — cierpiałem. Zdradzono mię okropnie — szatańsko! Płakałem cztery lata; wypłakałem oczy, a ciężaru życia nieulżyło, — a uczucia niewypłynęły ze łzami. Ludzi nieporuszył ni stan mój — ni łzy moje; oni nierozumieją łez — oni za złoto płakać gotowi! Ukryłem więc przed zimnym światem moje zbolałe serce; dusza moja rozmiłowała się Panu, — jej oczami widzę cudne niebo — widzę samego Boga! Ach! czyż mało takiej nadgrody — za katusze życia! Los przywdział mię w łaty — a dobry Bóg ukrył przedemną — moją nędzę: by niezatrwożyła się dusza....

— Tyś kochał kiedy? zapytał Edmónd, głosem przenikającym serce.

— At! było to coś podobnego do miłości. Byłem zaręczonym nawet; ale narzeczona moja wyszła za drugiego, że miał dużo złota. Na tę pamiątkę napisałem piosenkę....

— Zaspiewaj tę piosenkę; — takie piosenki leczą chorobę duszy, — zwyczajnie współuczucie.

— Współuczucie? powtórzył z ironiją dziad; w zdradzonem sercu, i takim co płonęło miłością wzajemną do ostatniego tchnienia — co przeniosło swą miłość w niebiosa, i tam czeka kochanka, — niéma różnicy?? — O! zdrada serca niéma współuczucia!"

— Nieszczęsny! — Za cierpienia ziemskie miłość Boga czeka cię w niebiosach; cóż! te krótkotrwałe uczucie dla nieśmiertelnej duszy! — Czy zaspiewasz piosenkę twych wspomnień? może nadto czuła — rozrzewniająca! Zapłaczemy sobie; ja — może raz ostatni....

— Wiesz ilem razy ją spiewał? — Ach, raz jeden tylko! Było to wielkie święto — uroczystość jedna w całém życiu. Panna młoda w brylantowej dyademie z swoim ulubionym, siedzieli za weselnym stołem. On jej nalewał godową czarę, a ona płonęła cała urokiem swego szczęścia. To była chwila gdym wszedł do godowej sali. Kazano mi usiąść przy progu; — ona prosiła mię tak czułym, tak dźwięcznym głosem zaspiewać co wesołego, mówiąc: dziś moje wesele! O gdyby była wiedziała wtedy, że pod płaszczem pielgrzyma paliło się serce zemsty, serce zdradzonej miłości! gdyby przeczuwała, że w tej pieśni odbije się cała jej przedajna miłość! O! jak miło sercu upić się dobrze wymierzoną zemstą! To był zachwycający widok — jeden, co rozradował tak tryumfalnie zbladłą skroń moją. Wszystkie zmysły moje spoiłem w zmysł oka, — śledzi-

łem jej wzroku — przeniknąłem do duszy; śledziłem jej czucia. Ona niesłyszala calej pieśni, i jam jej nieskończył wtedy...

— Pewnie umarła?

— Umarła? Czyż kobieta umiera w takich zdarzeniach? — jednakże wtedy prawdziwie zemdlała. Widziałem jej prawdziwą bladość.

— To zaspiewasz mi tę czułą piosenkę?

— Słuchaj:

Starzec uderzył kilka motiwów, i pierś jego zapalila się wspomnieniem *serdecznych dziejów*; na lica wystąpila krasa — rozjaśniło się czoło i zabrzmiała pieśń:

PIESN DZIADA:

I długoż dusza moja światu nieznajoma,
W niezgłębionych ukrytach głucho milczeć będzie?
Czyż wiecznie serca mego myśl nieukojona —
Niewyda swego dźwięku — nikogo niewzruszy,
Nie ulży się w tęsknocie — *niewyspiewa wszędzie*:
Co mię nęka — co boli — co drogie dla duszy!?
  Ozwij się tęskne serce, i wynurz swe żale;
Może iest jeden taki co z tobą zapłacze,
Co mu także niedola przeważyła szale,
Co także nadaremnie do szczęścia kołace!
  Ozwij się myśli wieszcza — i wznieś się wysoko:
Aby cię niesłyszało nieczułego ucho,
Aby cię niepostrzegło nieczułego oko!
Ozwij się głosem dzikim — ponuro i głucho,
I zagrzmij takim tonem, jak pioruny ryczą,
Jak szumują bałwany rozpienionej fali,
Jako wyją hyenny — jak gadziny syczą; —
Niech przekleństwo potworów mogiłę zawali!

O! nie dla was ja spiewam — stworzenia szczęśliwe,
Co pędzicie w nieczuciu swego życia chwile;
Nie! — ja nócę dla siebie pojętne mi słowa;
Iest to pienie nie dla was: bo się w niem jad chowa!
Nikt moich uczuć dzikich niech dzielić nieśmieli, —
Iest to pienie, co tylko me serce weseli, —
A dla jednych się stanie przedmiotem wyśmiania,
A dla drugich przyczyną i jęków i łkania!

(z czułością)

Nie! ja niechcę dać sygnału,
Co chmurą smutku pokryje;
Moja piosnka skutkiem szału,
Najsłodsze uczucia kryje;
W niej promień tkliwości świta,
W niej dusza moja wyryta,
W niej całe moje istnienie,
I w niej uczuć mych płomienie;
Ona słodzi chorą duszę,
Dla tego ją spiewać muszę!

(z determinacyą)

Zrzućcie maskę uczucia najtkliwszej miłości,
I okaż swoje czoło zwodnicza przyjaźni:
Odkryję wasze hasła! — odkryję bez złości,
I opowiem całemu światu bez bojaźni.

(z żalem)

Może niejednę urażę,
Swiętokradzkim wyjawieniem,
Może czułą duszę skażę,
Bluźnierczym ust moich brzmieniem.
Może iest choć jedna dusza,
Co w czystej miłości płonie,
Którą ma piosnka poruszy,
Która mi stanie przy skonie?....

(z nagłym wzruszeniem)

Precz mi z myśli przyszłości niepewne obrazy!
Precz i z duszy i z serca czułości płomienie!

Nietamujcie mi mowy: bo moje wyrazy,
Niezadzwonią — co miłość — co uszczęśliwienie.
(z westchnieniem)
Jak niedawno minęły nieczułości lata,
Jak niedawno opadła mi z serca osłona,
Jak niedawno pędziłem do miłości łona; —
A już wieniec na grób mój dłoń nieczuła splata,
I już w myśli układa pożegnalne pienia,
I już łzy nieustanne z tkliwych oczu sączy, —
Pierwiej nawet niż duch mój z duszą się połączy.
(z energją)
Daremnie! — już rzuciłaś na mnie męki cienie!
Odtąd ciemność jedynym *iest moim udziałem*:
Bo od światłości dawno oddzielon zostałem;
A tak, idę nie takim jak śmiertelni torem:
Bo kiry nieprzejrzane są moim żywiołem.
Słońce jasne codziennie słabe oczy mroczy,
Codziennie oczekuję nocy z upragnieniem;
Ona tylko wspomnienia czułe w sercu tłoczy,
Ona tylko dla duszy iest uspokojeniem.
(w zachwyceniu)
Już się xiężyc do mnie wdzięczy,
Lampa światów już skonała;
Tam w dolinie strumień brzęczy —
Tam mię wabi groźna skała;
Ona może czuć mię umie,
Ona mą czułość rozumie;
Przylgnę do niej łono moje,
Ona zgadnie święte chęci;
Tam ustaną niepokoje,
I zaginą w niepamięci.
(w głębokim rozczuleniu)
I mamże już na wieki rozstawać się z tobą,
I zapomnieć twój uśmiech i twe cudne oczy,
I mamże cię przyodziać wieczystą żałobą? —
Serce moje, nigdy się zdradą nieobróczy!

Nigdy się nieośmielę tego kroku,
Bym w łzach twoich nieujrzał wiecznego wyroku.
Łkanie twoje co moment w sercu się odzywa,
I całunem rospaczy mą duszę pokrywa. —
(z szczerością)
Jak jasna zorza na sklepień błękicie,
Gdy ją wieczorem lekki zefir zbudzi,
Jak modre morze o xiężyca świcie,
Gdy się po burzy zupełnie ostudzi,
Tak cudne — ciche wtedy serce miałem,
Kiedy potęgi miłości nieznałem.
Utkwił grot oka w głębi mego łona,
Ogniem zatruty w niém pożar roznieci;
Czasem me serce przy pieszczotach kona —
A częściej łezka w tęsknym oku świeci.
(z żalem)
Lecz tą łezką nikogo z śmiertelnych niewzruszę,
I za progiem żyjących czucia szukać muszę....
Pójdę tam!.... o niestety drzą podemną nogi;
Chcę mówić — i głos zamarł, ścięty mrozem trwogi.
Ocknij się tęskne serce, pokaż męztwo twoje;
Tam iest jedna istota co słodzi zgryzoty;
Jej wspomnienie umniejsza srogie niepokoje,
Jej obecność wyrywa z serca trute groty.
Pójdę tam!.... wszak już nigdzie światło niejaśnieje;
Spią wszyscy — nikt się ze mnie pewnie nienaśmieje.
(w zachwyceniu)
Żegnam cię biedny świecie! rzucam łoże moje,
By przycisnąć do serca zimne prochy twoje,
By zapłakać nad tobą i nad sobą razem,
I by chwilkę pomówić z twym grobowym głazem.
Tam do twojej mogiły przylgnę moje skronie,
I usnę rozczulony, jak przy twoim łonie....
(z dziką radością)
Ha! witam cię zacisze, spokojnych pobycie!
Witam cię ziemio święta i pomniki tkliwe,

Których widok najczulej tęskne serce słodzi.
(w uniesieniu)
Witam cię matko droga! dziś losy szczęśliwe!
Ozwij się głosem wdzięcznym — to syn twój
przychodzi,
By wynurzyć ci żale, i zapłakać skrycie.
Tu sprowadza mię wielka i nadludzka siła;
Ozwij się matko luba! — to twoja mogiła?
Tak! to ona — ta sama! Czy poznajesz syna,
Którego korne czoło ku tobie się zgina,
Któren usta spragnione czule do cię cisnie?!
Powiedz o matko droga! czy mi radość błyśnie,
I czy długo mam jeszcze oczami błędnemi
Rzucać smutne spojrzenia po posępnej ziemi?...
Wszędzie cichość grobowa i głuche milczenie,
I nikt nieodpowiada na me smutne jęki;
Duszę tylko owiewa zefiru westchnienie,
I tworzą nocnych tworów śmierci-wieszcze dźwięki.
W tém zadrzy podemną ziemia; trwogę żal prze-
rywa,
Przebóg! czyjże głos w tęsknym sercu się odzywa?!
Ktoż się śmieli *zamącać tych mieszkańców ciszę*;
Wesel się smutna duszo! ja głos matki słyszę:
(czule)
»Uspokój myśli swoje me dziécię kochane,
I ukój serce czułe smutkiem skołatane;
Niepłacz więcej, i otrzyj łzą zroszone oczy,
Jasność blizkiego słońca twe skronie otoczy.
Raz jeszcze osi globu koło się obróci,
Roskosz stała nastąpi, a smutek się skróci;
A nim cię wszystkich matka przytuli do łona
Ukochaj Lamartina — Szyllera — Byrona.«
Głos ustał — wietrzyk skonał — zgasły meteory,
Lecz długo jeszcze w duszy grały święte chory.
Leżałem jako martwy na zroszonej darni,
I myślałem: ci ludzie o! jakże są marni!

Jak nikczemne, jak zwodne są wszystkie nadzieje;
Ileż płakać potrzeba nim się los zaśmieje....
Podniosłem się z grobowca, coś mię jeszcze nęci;
Jakaś jeszcze nadzieja na sercu wyryta; —
Spójrzałem na mogiłę — ach! to kwiat pamięci,
Co z popiołów najdroższych mej matki zakwita.
Zrywam go i dłoń moja do spiekłych ust ciśnie,
To od ust go oderwie — przyłoży do łona.
W tem — niestety! na wschodzie mdła jutrznia zabłyśnie;
Spójrzę w niebo — a lampa nocnych cieniów kona;
I już smuga szkarłatu na dnie złotym strzela,
I świat żywych od świata umarłych oddziela.

(z tkliwością)

Żegnam cię matko miła! odrywam mą duszę
Od tych miejsc, gdzie się koją twe drogie ostatki!
Żegnam cię! — już do łoża smutku dążyć muszę;
Tam pewnie nieusłyszę głosu czułej matki;
Lecz w sercu brzmieć on będzie — ja go niezapomnę;
A w miłość i kochankę — już niebędę wierzyć;
Z pamięci wygluzuję serce wiarołomne!
Rok jeden tylko cierpieć tyś mi naznaczyła;
Rok cały! ach! tak długo — moja matko miła!...

(po krótkim namyśle z szyderską ironią)

O! złośliwe stworzenie! jaż miałbym uderzyć
Grotem w duszę — i spełnić tak okropną zbrodnię,
I z najczulszą istotą postąpić wyrodnie? —
Precz mi myśli tak czarna! wszak ona mi stała,
Ona mię znowu kocha, jak pierwiej kochała,
Znowu jej serce bije — a śnieżne jej dłonie
Tulą znowu do łona me gorące skronie,
I znowu czułość Boską z Boskich oczu sączy,
I znowu ust swych tchnienie z moim tchnieniem łączy.

(z przestrachem)

Przebóg! to rzecz niejawna! wszak to tylko we śnie!
Ocknąłem się jaw widzę — skamieniały stoję,

A myśl błogiej przeszłości dręczy mię boleśnie,
I rozwija scen zeszłych tajemnicze zwoje....
(przychodząc do siebie, z żalem)
Już się moich przeznaczeń wyroki spełniły;
Oczy ziemnej istoty błyskotki zaćmiły.
(oziębłe)
O! bodajżeś się sama w czszcze złoto zmieniła,
I dla innych pogardy widowiskiem była!
(ze złością)
Ja dla twojej miłości przyniosę ofiarę,
I uwieńczon myrtami podam ci dłoń zgody,
I najsłodszą dla twoich uczuć spełnię czarę!
(w nagłém obłąkaniu)
Wesel się moja luba, to są nasze gody!!
(ochłonąwszy)
Duszę zbrodni pokryła piekielna pomroka,
I dopiero łza jedna spłynęła z jej oka.
Wypadł z dłoni mej oręż — zledniałem — zadrzałem;
Oczy w górę się wzniosły — o Bogu wspomniałem,
I o tém że rok tylko mi cierpieć potrzeba....
O jak słodka modlitwa płynęła do nieba!
A potem na nią biedną cisnąłem me oko;
Jej zbrodnię w mej pamięci żal ukrył głęboko;
A w sercu żyje wiecznie — jak w pamięci świata
Żyją gmachy Cheopsa lub czyn Herostrata;
I żyć będzie dopóty w mem ostygłem łonie,
Aż duch mój wieszczy fala wieczności pochłonie.

Ucichły stróny lutni — i usta starca zamilkły, tylko twarz jego zapłonęła jakimś uroczystym wyrazem. Edmónd długo patrzał okiem podziwu w te szanowne lica, nieśmiejąc przerywać ciszy pełnej tajemniczej muzyki serdecznych wspomnień. Rozjaśniło się w jego znękanej duszy, a serce zabiło się

słodko — i niewymowna czułość napełniła łono — jakby całego świata miłość, zespolona w jedno uczucie nadziemskie — w jeden dźwięk anielski, — zwiastowali mu nadzieję prędkiego ocknienia na łonie wieczności — nadzieję niezłomnego wytrwania na drodze do tego celu.

— Rok jeden? O Boże! nagle wykrzyknął starzec, jakby zatrwożony w śnie okropnym; rok tylko — było mi przeznaczonem cierpieć! o, dlaczegoż zmieniłeś to przeznaczenie?!

I głowa jego skłoniła się na piersi.

— Dziaduniu drogi! przemówił czule Edmónd, całując ślepca, to sen tylko.

— To sen! powtórzył dziko starzec, zrywając z palca głęboko wrosłą obrączkę — patrz to sen? — i rzucił ją przed oczami Edmónda.

On podjął obrączkę — spojrzał na nią — i zimny pot wystąpił mu na czoło. Po chwili, jakby wstrząsniony blizkim uderzeniem piorunu — zadrżał nagle, i z ust wydarły się wyrazy: Niepojęty Boże! czyż to może być!

— Prawda że cudny sen? znowu powtórzył z złośliwą ironią dziad.

— Naco rwiesz me serce: to imiona mej matki! z ostatnich sił zawołał omdlały Edmónd.

— Ona była twoją matką? O Boże!

Łkania stłumiły ich mowę — objęcia spolą się ognistym kołem; łączą się dusze — łączą serca — łączą tchnienia, a głosu niema — tylko łzy — ach! jakie słodkie, słodsze nad wszystkie roskosze ziemskie, nad urojenia niewinnej duszy! Usta Edmónda

wpiły się płomienistym, przeciągłym pocałunkiem w usta ślepca, i na długo sączyłyby radość pojętną nie dla ziemskich — wystudzonych serc — na długo! o! gdybyście wiedzieli jak długo można żyć ideą czystego upojenia, dźwiękami serdecznej melodij? — na długo! gdyby nie inna wola Przedwiecznego!

— To trup! okropnym wykrzykiem rospaczy zawołał po chwili Edmónd, odrywając swe usta od zsiniałych ust ślepca i wpatrując się w jego bezwładne członki. Trup — trup! jedna chwila — jedno skinienie!

Pełen anielskiej pokory wyrokom Syonu, złożył zimne zwłoki starca na swoim łożu boleści, a łzy uniesienia, łzy roskoszne — znowu zmienione w łzy cierpienia, w łzy goryczy, przygotowały ostatnią kąpiel wielkiemu nauczycielowi wielkiej nauki: jak chodzić w cierniowych manowcach życia przy świetle duszy, — i schował potem te nieocenione ostatki głęboko w zimną ziemię, blizko najdroższych pamiątek zbolałego serca. Potem długo na tém miejscu czekał zmiłowania Bożego, ukochanej pocieszycielki utrapionych, radości nieprzemijającym smutkiem zasmuconych, — śmierci! — ale wola Najwyższego widać była inna. Na przygotowanie w niebiosach szczęście — widać potrzeba było więcej zasług.

Prześlicznie tego roku zieleniły się roskosznie mogiłki przy pięciu krzyżach; było komu polewać je serdecznemi łzami. A na drugą wiosnę już żadna perełka nie błyszczała na pożółkłych trawkach.

Edmónda już tu niebyło! Czemu? a tuż jego pamiątki nieocenione? — może umarł? — może mu trudno, ciężko było zapomnieć o tak zwyczajnem na świecie? — O! biedni wy: zwyczajne lody, zwyczajne mumje, podległe prędko trawiącej zgniliźnie! On nieumarł! waszą śmiercią, i nigdy nią nieumrze. Wy żyjecie zmysłami — ciałem? biedne wasze życie, biedna wasza śmierć, — a kto żyje duszą, kto cierpi duszą, — cierpi pokąd nosi ciało, a żyje wiecznie!

On wziął lutnię dziada i sierotkę co go wodził, i poszedł daleko w Boży świat; — nie na pustynie gdzie gady zjadliwe, — nie w lasy gdzie drapieżne zwierzęta krwi chciwe, — a między stworzenia, najwyższej mądrości Bożej, podobne swemu Stwórcy! a czegoż on tam poszedł? — bo tam tylko prawdziwie można ucierpieć na zasługę męczeńskiego wieńca syońskiej światłości. Już błyska w niem dużo gwiazd, zespolonych w przecudną tęczę — niestaje tylko jednej!!...

O ludzie zmysłowego świata! czy myślecie że pomrzecie w takiej ułudzie i tak lekko, jak żyjecie? Niewierzcie szatańskim naszeptom mieszkańców serc waszych! Pierwiej jeszcze nim dreszcz opamiętania przejdzie wszystkie żyły, — otworzą się oczy duszy, i ujrzycie jasno: ruiny marzeń — groby na grobach!

KONIEC.